ISSN 0446-7035

Jednota

MIESIĘCZNIK RELIGIJNO-SPOŁECZNY

POŚWIĘCONY POLSKIEMU EWANGELICYZMOWI I EKUMENII

8
83
Rocznik XXVII (XLII)

CO WY NA TO?

Gorzkie myśli

Pięćsetna rocznica urodzin Marcina Lutra skłania nie tylko do urządzania jubileuszowych obchodów i uroczystości, ale i do snucia aktualnych refleksji. Data 31 października 1517, dzień ogłoszenia przez Lutra 95 tez, jest uważana za cezurę w dziejach zachodniego chrześcijaństwa, za początek formowania się nowego stylu pobożności, a w konsekwencji kształtowania się nowego Kościoła nazwanego później ewangelickim.

Nie da się zaprzeczyć, że to lokalne wydarzenie, na początku zupełnie nie doceniane, niosło ogromny ładunek energii, która wybuchła w Kościele rewolucją. Z drugiej jednak strony trzeba zauważyć, że nie wyskoczyło ono nagle, jak deus ex machina, lecz stanowiło ogniwo w całym łańcuchu innych wydarzeń. Na Lutrze Reformacja ani się nie zaczęła, ani nie skończyła. Od bardzo dawna w Kościele torował sobie drogę ruch zmierzający do reformy „in capite et in membris" (w głowie i członkach, albo w wolnym przekładzie — od góry do dołu). Już w XII wieku lioński kupiec, Piotr Waldo, zorganizował „ubogich z Lionu" w społeczność, która do dziś istnieje we Włoszech jako Ewangelicki Kościół Waldensów, najstarsza gałąź ewangelicyzmu. W wieku XIV do reformy Kościoła dążył Jan Wiklef w Anglii, w wieku XV Jan Hus i Hieronim z Pragi w Czechach. Równocześnie z Lutrem Ulryk Zwingli przeprowadził reformę w Zurychu, a następnie o pokolenie młodszy od Wittenberczyka Jan Kalwin — w Strasburgu i Genewie. Ten łańcuch ciągnie się dalej i proces reformy trwa właściwie do dzisiaj. Sądzimy więc, że wiązanie rodowodu ewangelickiego z osobą jednego tylko reformatora (z Lutrem przez luteran czy z Kalwinem przez reformowanych) jest grubym nieporozumieniem. Szersze spojrzenie na Reformę jako proces historyczny, który rozwija się przez stulecia, a nie jako jednorazowe wydarzenie, pozwala dostrzec związki łączące reformę szesnastowieczną z tym, co się działo w Kościele wcześniej i z kolei związki naszej współczesności z okresem Reformacji i z historią sięgającą aż do źródeł Kościoła.

Marcin Luter jest mocno osadzony w całym ciągu chrześcijańskiej tradycji, z której bogactwa czerpał inspirację do reformacyjnej działalności. On z kolei twórczą myślą zapłodnił nie tylko późniejszych reformatorów, ale całe pokolenia ewangelickich myślicieli. Jest rzeczą naturalną, że Kalwin na przykład był „luteraninem", zanim stał się samodzielnym reformatorem wielkością dorównując mistrzowi. Startował z innego punktu i nie musiał wyważać otwartych drzwi. Na czym innym polegał geniusz Lutra, na czym innym Kalwina. I wcale nie musi jeden drugiego wykluczać, wprost przeciwnie, obaj wzajemnie się uzupełniają. Niestety, już bardzo wcześnie ortodoksi dla zachowania mniemanej czystości doktryny ogrodzili się murami granicznymi i w ten sposób zatamowali swobodny przepływ myśli, wstrzymując zdrowy rozwój bujnie krzewiącego się (również w Polsce) ruchu.

Mury graniczne jeszcze do dziś dominują na terenie całego chrześcijaństwa. Dotyczy to nie tylko ewangelików, choć trzeba przyznać, że na tle innych wyznań ewangelicy mają jeszcze stosunkowo wiele linii komunikacyjnych poprzez mury. Zjawisko to jest rzeczą zadziwiającą, skoro się zważy, że Ewangelia ma charakter uniwersalny i taki sam charakter ma powstały z jej posiewu Kościół. A więc ludzie, którzy go tworzą. Tymczasem ci powołani do wielkości nosiciele uniwersalizmu, zapatrzeni tylko w swój zaścianek, nie potrafią (czy nie chcą?) spojrzeć w przód, wstecz, na boki i wzwyż, aby dostrzec, jak ogromne rysują się przed nimi horyzonty. Czyżby obawiali się zawrotu głowy?

My, współcześni chrześcijanie, bardzo często ujawniamy mentalność sklepikarską. Kurczowo trzymamy się firmy, z wielką troską dbamy, żeby ktoś z naszych klientów nie trafił przypadkiem do „konkurencji" i dokładamy starań, aby „konkurencję" klientów pozbawić i doprowadzić ją do upadłości.

Proszę powiedzieć — czy tak nie jest?

CO W NUMERZE?

W czerwcu br. wizytę w Polsce złożył zwierzchnik Kościoła Rzymskokatolickiego, papież Jan Paweł II. Temu wydarzeniu poświęcamy część 8 zeszytu „Jedności".

Na s. 5 ks. Bogran Tranda dzieli się swoimi wrażeniami i uwagami z wizyty papieża oraz przypomina niektóre jego myśli w **Papieskim przesłaniu do wszystkich Polaków**, zaś na s. 10 omawia przebieg pierwszego w naszym kraju **Spotkania ekumenicznego** z przedstawicielami innych Kościołów i związków wyznaniowych. Na s. 11 drukujemy wygłoszone na tym spotkaniu powitalne **Przemówienie ks. Witolda Benedyktowicza**, prezesa honorowego PRE, a na s. 13 — **Przemówienie Jana Pawła II.**

Po raz pierwszy na naszych łamach gościmy młodego socjologa, Marka Mlickiego, który w artykule pt. **Nasze postawy wobec kary śmierci** (s. 14) kontynuuje tematykę podjętą przez Wandę Falkowską w poprzednim numerze „Jedności".

Z cyklu **Zapisali karty historii**, pióra Marka Ruszczyca, przedstawiamy na s. 18 **Portret warszawskiego milionera** (część I), Leopolda Kronenberga, ewangelika reformowanego, człowieka wielce zasłużonego dla rozwoju przemysłu i gospodarki w Polsce w XIX stuleciu.

Poza tym, jak zwykle, na s. 2 zamieszczamy rubrykę **Co wy na to?**, na s. 3 — kazanie ks. Jerzego Stahla pt. **Przestroga i nadzieja** oraz **Modlitwę o właściwą drogę** (s. 4). **Listy** drukujemy na s. 22, a **Przeglądem ekumenicznym** (s. 23) zamykamy numer.

NASZA OKŁADKA

Historyczne spotkanie w dniu 17 VI w Warszawie. Przemawia Prezes Honorowy Polskiej Rady Ekumenicznej ks. prof. Witold Benedyktowicz. Obok Papieża siedzi Sekretarz Stanu ks. kard. Agostino Casaroli.

KS. JERZY STAHL

Przestroga i nadzieja

A chcę, bracia, abyście dobrze wiedzieli, że ojcowie nasi wszyscy byli pod obłokiem i wszyscy przez morze przeszli (...). Lecz większości z nich nie upodobał sobie Bóg; ciała ich bowiem zasłały pustynię. A to stało się dla nas wzorem, ostrzegającym nas, abyśmy złych rzeczy nie pożądali, jak tamci pożądali. (...) A to wszystko na tamtych przyszło dla przykładu i jest napisane ku przestrodze dla nas, którzy znaleźliśmy się u kresu wieków. A tak, kto mniema, że stoi, niech baczy, aby nie upadł. Dotąd nie przyszło na was pokuszenie, które by przekraczało siły ludzkie; lecz Bóg jest wierny i nie dopuści, abyście byli kuszeni ponad siły wasze, ale z pokuszeniem da i wyjście, abyście je mogli znieść.

(I Kor. 10:1—13)

Kochani, Siostry i Bracia w Chrystusie,

Do nas wszystkich — zgromadzonych tu w kościele i przy odbiornikach radiowych, do nas wszystkich — do każdego indywidualnie i do całej społeczności wierzących skierowane jest apostolskie ostrzeżenie przed zbytnią pewnością siebie i przed zapatrzeniem we własną sprawiedliwość i własną doskonałość. Oto na przykładzie historii Izraela apostoł Paweł pokazuje, co może wydarzyć się ludowi, który otrzymał Boże błogosławieństwo, został szczególnie wybrany i otrzymał wielkie przywileje. Jak czytamy w Starym Testamencie, działy się wówczas wspaniałe rzeczy. Ale szczególne przywileje nie zabezpieczyły Izraela przed atakami pokusy. W rezultacie „większości z nich nie upodobał sobie Bóg..." Bo chociaż człowiek pozostaje pod działaniem łaski Bożej, to jednak jest istotą wolną i odpowiedzialną za swój los. Może więc — robiąc użytek z danej mu wolnej woli — świadomie łaskę Bożą zaprzepaścić.

Dzieje chrześcijaństwa niekiedy mogą nasuwać niepokojące analogie z dziejami narodu wybranego. Ciągle jeszcze wśród jednostek czy nawet grup chrześcijan daje się zaobserwować z jednej strony tę samą, choć we współczesnym wydaniu, grzeszność: pożądliwość, nieczystość, bałwochwalstwo, wystawianie Boga na próbę, szemranie i bunt przeciw Niemu, z drugiej zaś — dumny separatyzm wyznaniowy, obrzędowy, kulturowy. Są ciągle tacy, którzy chcieliby zamknąć Chrystusa w swoim prywatnym światku, a w najlepszym razie — w swojej społeczności wiary. Niestety, często także pobrzmiewają w modlitwach i ujawniają się w świadomości religijnej chrześcijan postawy w rodzaju: „Ojcze mój", „Ojcze mojego Kościoła" (zamiast „Ojcze nasz") bądź też faryzejskie: „dziękuję Ci, Boże, że nie jestem jak inni", jak ci, co inaczej myślą i inaczej wyrażają swoją wiarę. Zdarza się też, że chrześcijanie przez swoją postawę stają się zgorszeniem dla świata, któremu mieli świecić przykładem i który mieli przywieść do Chrystusa. Jest to nic innego, jak wystawianie na próbę cierpliwości Boga, który jest nie tylko przebaczającą miłością, ale samą świętością i sprawiedliwością, a to znaczy, że jest Bogiem, który nie pozwoli się z siebie naśmiewać.

Mamy także sposobność obserwować, jak w kaznodziejstwie chrześcijańskim unika się tematów drażliwych, takich jak grzech, sąd, kara. Najczęściej słyszymy w kościele o Bogu, który nas kocha, a zbyt rzadko o wymagającym Ojcu i sprawiedliwym Sędzi. Dlatego tak bardzo aktualnie brzmią dzisiaj słowa ostrzeżenia apostoła Pawła: „kto mniema, że stoi, niech baczy, aby nie upadł". To sformułowanie należałoby tym częściej powtarzać, im bardziej rozpowszechniona jest opinia, że człowiek, który został ochrzczony, uczęszcza do kościoła, przystępuje do Komunii Świętej — jest niejako „zabezpieczony" i nie może „wypaść z łaski".

Przestrogę apostolską, wynikającą z doświadczeń Izraela, możemy też przenieść na dzieje naszego narodu, w których tak wiele było dowodów Bożej opieki i łaskawości, ale też Bożego gniewu. Czy potrafimy na naszą historię spojrzeć pod takim kątem? Czy jako chrześcijanie i jako lud tej ziemi, polskiej ziemi, umiemy wyciągnąć wnioski z wydarzeń przeszłości i, mądrzejsi o te przeżyte doświadczenia, wzbogacać tą mądrością nasze polskie dziś? Naród nie jest bezimienną masą. To my go tworzymy. Każdy z nas. Ty i ja . My. Z naszymi postawami, z naszym stosunkiem do Bożych praw, z naszym szacunkiem do drugiego człowieka, z naszym poczuciem godności własnej i cudzej, z tęsknotą do prawdy, miłości, sprawiedliwości, pokoju.

Jako chrześcijanie powinniśmy także mieć pełną świadomość, że znajdujemy się „u kresu wieków". Nie o straszenie „końcem świata" tu chodzi, choć na pewno można by jego oznaki dojrzeć i w kataklizmach przyrody, i w wojnach, i w nasilaniu zbrojeń, i w zachwianiu norm moralnych, i w rozpadzie więzi społecznych, i w wielu innych symptomach, których wiele by tu można wymieniać. Ale przecież każde pokolenie przeżywa swoje czasy ostateczne. I w tych okolicznościach, w tych uwarunkowaniach,

w jakich przyszło nam żyć, Bóg wystawia nas na próbę (bo taki jest ewangeliczny sens słowa pokusa), na próbę, która należy do istoty życia. I choć czujemy się osobiście pokrzywdzeni tym, co nas spotyka, zdajmy sobie sprawę, że doświadczanie pokus nie jest zjawiskiem wyjątkowym — inni też są na nie wystawieni, inni też przechodzą przez próby. To jest sytuacja testowa, z której mamy wyjść silniejsi, szlachetniejsi, bardziej doskonali; to jest test, który ma wykazać stopień i siłę naszej wiary, a także uświadomić nam, z czym staniemy przed obliczem Boga u kresu naszych dni.

Zachodzi pytanie, czy Bóg rzeczywiście wypróbowuje nas ponad siły, czy żąda czegoś niemożliwego, wymagając miłości, wierności i posłuszeństwa? Na pewno są wśród nas tacy, którzy tak właśnie myślą, bo dzisiaj chyba bardziej niż kiedykolwiek dotąd wiara nasza jest wystawiana na próbę, a nasze doświadczenia, jakich dostarcza każdy dzień, są dotkliwsze i bardziej intensywne.

Poselstwo apostolskie niesie nam jednak nie tylko ostrzeżenie i przestrogę, ale — zwłaszcza dzisiaj — przede wszystkim nadzieję: oto „Bóg jest wierny i nie dopuści, abyście byli kuszeni ponad siły wasze, ale z pokuszeniem da i wyjście". Na nasze rozterki, wątpliwości, na ustawiczny niepokój pada promień nadziei: Bóg jest wierny, On jest po stronie tych, co Go miłują, On chce nam pomóc, On „trzciny nadłamanej nie dołamie". Pozostaje tylko pytanie, czy chcemy tę prawdę przyjąć z największą powagą i z pełną odpowiedzialnością, jako prawdę skierowaną osobiście do każdego z nas. Czy dochowujemy Bogu wierności? Czy u Niego chcemy szukać rozwiązania naszych problemów? Czy u Niego chcemy czerpać siłę? Czy mamy tę pewność, że we wszelkich próbach jedynym ratunkiem jest dla nas Jezus Chrystus?

Nam wszystkim, całemu chrześcijaństwu, potrzebna jest jedność. Nie jedność organizacyjna, ale przede wszystkim jedność w wierze, w duchu miłości i wspólnie składanym świadectwie. Potrzebna jest ona do walki o sprawę Chrystusa w zmaterializowanym świecie, świecie bez Boga, w świecie, który na tak wiele sposobów pragnie zatracić największe wartości człowieczeństwa. Dlatego gorąco prośmy Boga, by dał nam łaskę odrodzenia duchowego, by wzmacniał nasze siły, by uczynił nas zdolnymi do rozeznania naszych słabości, które z Jego pomocą jesteśmy w stanie przezwyciężyć. Niech wszelkie nasze czyny i działania podejmowane zarówno w kręgu najbliższej rodziny, jak też w środowisku społecznym, zawodowym, kościelnym i każdym innym będą świadectwem, że nie pozostaliśmy głusi na głos Boży, ale w odpowiedzi na Jego wierność chcemy tak odmienić nasze serca i umysły, aby stać się wiernym ludem Bożym, który Prawo wypisane ma nie na kamiennych tablicach, lecz w żywych sercach. Amen.

Kazanie wygłoszone w kościele warszawskim podczas nabożeństwa transmitowanego przez Polskie Radio w niedzielę, 7 sierpnia 1983.

Modlitwa o właściwą drogę

Ojcze niebieski,
Ty przez Słowo Twoje
towarzyszysz nam w drodze.
Karmisz nas i krzepisz,
ale też ostrzegasz i karcisz.
Ty wiesz najlepiej,
że tak często nie potrafimy wyciągnąć lekcji
z dziejów ludu Twojego,
że jak niegdyś, tak i dziś ciągle jeszcze
zbyt wiele w nas nadmiernej pewności siebie,
pychy i zarozumialstwa,
a tak mało wierności, posłuszeństwa i miłości.
Prosimy Cię,
daj nam zrozumienie tego,
co powinno być dla nas najważniejsze.
Daj nam pewność Twojej wierności.
Daj, byśmy u Ciebie szukali odpowiedzi
na nasze problemy, wątpliwości i rozterki.
W trudnych czasach, w jakich żyjemy,
w niepokojach, wstrząsających światem
i zatrważających nas —
daj nam znaleźć łaskę odrodzenia duchowego,
łaskę dostrzeżenia ratunku w Synu Twoim,
by On stał się rzeczywiście dla każdego z nas
Drogą, Prawdą i Życiem.
Amen.

KS. BOGDAN TRANDA

Papieskie przesłanie do wszystkich Polaków

Takie tłumy i w taki sposób witają tylko człowieka o powszechnym i niekwestionowanym autorytecie. Sam autorytet nie tłumaczy jednak masowego entuzjazmu, jaki towarzyszył wizycie w Polsce Jana Pawła II. Trzeba dodać do tego jeszcze nasze uczucie dumy narodowej wywołane przez wybór Polaka na biskupa Rzymu i tym samym na zwierzchnika największego Kościoła na świecie. Ale i tego za mało, bo Jan Paweł II budzi w swoich rodakach-współwyznawcach obok szacunku i dumy jeszcze miłość i uwielbienie. Ludzie tęsknią za nie narzuconym autorytetem, pragną być wolni w obdarzaniu swym zaufaniem, chcą szanować człowieka, który ma odwagę mówić prawdę, przychodzi do nich w czasach trudnego przełomu, solidaryzuje się z pokrzywdzonymi, przynosi im słowa pociechy, podnosi na duchu, budzi nadzieję. Jego słowa i gesty wywołują oddźwięk u słuchaczy, współbrzmią z ich myślami i odczuciami.

Już pierwszy gest, który nabrał cech zwyczajnego rytuału: ucałowanie ojczystej ziemi, miał głęboką wymowę, skomentowaną przez samego papieża w przemówieniu powitalnym na lotnisku: „Czynię tak, (...) przez cześć dla samego Stwórcy oraz dla synów i córek ziemi, do której przybywam". Był to też „jakby pocałunek złożony na rękach matki — albowiem Ojczyzna jest naszą matką ziemską". Wreszcie był to „pocałunek pokoju dla wszystkich, którzy w jakikolwiek sposób zechcą się znaleźć w tej wielkiej pielgrzymiej wspólnocie Papieża-Polaka".

W tym samym przemówieniu oświadczył, że przybywa „do całej Ojczyzny i do wszystkich Polaków", z czego wynika, że chciał być gościem nie tylko swych współwyznawców-katolików. Nic więc dziwnego, że również w naszych kościołach na nabożeństwach witaliśmy go i modliliśmy się do Boga o pomyślny przebieg tej wizyty oraz o daleko i głęboko sięgające jej skutki. Naszemu narodowi bardzo bowiem potrzeba głębokich i trwałych przemian w psychice, duchowości, moralności. Potrzeba mu tego, co Jan Paweł II nazwał „zwycięstwem moralnym", by wróciła mu wiara w siebie i swoją przyszłość, by można było poważnie myśleć o wzajemnym zaufaniu i pojednaniu między ludźmi, o wzajemnym szacunku ludzi różnych wyznań i przekonań, koniecznych dla szukania i osiągnięcia chrześcijańskiej jedności. Jesteśmy zaniepokojeni, czujemy się zagrożeni, często pokrzywdzeni, a nawet oszukani, wewnętrznie skłóceni i rozbici, zawiedzeni i rozgoryczeni. Dlatego żywym echem w sercach ludzi odbiły się już pierwsze cytowane przez papieża słowa Ewangelii: „byłem chory, a odwiedziliście mnie; byłem w więzieniu, a przyszliście do mnie" (Mat 25:26), którymi wyraził uczucia, z jakimi do Polski przybył.

Słowa papieża o przybyciu do wszystkich Polaków skonkretyzowały się w spotkaniu ekumenicznym (piszemy o nim osobno), które doszło do skutku następnego dnia po jego wylądowaniu na lotnisku w Warszawie, w piątek, 17 czerwca. Przedstawiciele ośmiu Kościołów chrześcijańskich oraz społeczności żydowskich i muzułmańskich znaleźli się o godzinie trzynastej w Pałacu Arcybiskupów Warszawskich. Było to spotkanie historyczne, ponieważ po raz pierwszy na ziemi polskiej przedstawiciele wyznań nierzymskokatolickich zostali przyjęci przez papieża na specjalnej audiencji, a wiadomość o tym wydarzeniu poszła

...Delegacje ekumeniczne miały wprawdzie zarezerwowane honorowe miejsca na koronie stadionu, ale niejako „schowane"...

w Polskę i w świat. Ze zrozumieniem odnieśliśmy się do tego, że w czasie pierwszej wizyty w Polsce nie było czasu na takie spotkanie, co przypomniał papież w swym przemówieniu. Tym razem doszło do spotkania, które miało duże znaczenie nie tylko dla nierzymskich wyznań, ale przede wszystkim dla samych katolików w Polsce i dla ruchu ekumenicznego. Mimo postępu na drodze ku jedności, wiele jest jeszcze nawarstwionych uprzedzeń, niezrozumienia, oporów i poczucia krzywdy, niełatwych do przezwyciężenia. Każdy Kościół i każdy chrześcijanin ma dużo w tym zakresie do zrobienia. Jednakże główne zadanie, jak w każdym kraju, należy do wyznania najliczniejszego i najsilniejszego. Warto w przemówieniu papieskim podkreślić, że zwracał się on do zgromadzonych per „Bracia w Chrystusie", a nie „Bracia odłączeni", jak to jest jeszcze w nie bardzo szczęśliwym zwyczaju. O stosunku do ludzi innego wyznania niech świadczy następujący fragment wypowiedzi papieża: „Nasze spotkanie ożywia duch braterskiej miłości, wyróżniający Ewangelię Chrystusową. Z tego ducha braterskiej miłości rodzi się w stosunkach międzyludzkich wzajemna wyrozumiałość, poszanowanie cudzych poglądów i upodobań, a zwłaszcza odmiennych wierzeń lub zwyczajów. Jest to duch tolerancji, tak głęboko zakorzeniony w naszych tradycjach religijnych, społecznych i narodowych, że Polska słusznie zasłużyła na miano »państwa bez stosów«".

Wspomniał też papież o przypadkach ekumenizmu w praktyce. „W książkach i czasopismach katolickich i niekatolickich — wprawdzie w niewielkich nakładach — coraz częściej są publikowane teksty autorów należących do różnych tradycji teologicznych". Miło było nam, redaktorom „Jednoty", usłyszeć tę wzmiankę, ponieważ jest w tym i nasza skromna cząstka.

Mówiąc o praktykowaniu w Polsce Tygodnia Modlitwy o Jedność Chrześcijan, zauważył Jan Paweł II, że „wspólne modlitwy są nie tylko doskonałą sposobnością po temu, żeby dostrzec innych chrześcijan żyjących w tej samej społeczności, ale nade wszystko stanowią zachętę do praktykowania żywszej wiary. Są poniekąd wezwaniem do głębszego umiłowania Chrystusa. Tego Chrystusa, w którym wszyscy stanowimy jedno! Choć niekiedy mamy inne tradycje, inne obyczaje, inny styl myślenia, jednakże czujemy się wezwani do ściślejszego zjednoczenia z Chrystusem i wokół Chrystusa". Dodajmy do tego, że jeżeli modlimy się wspólnie i dostrzegamy jedni drugich, przez ściślejsze zjednoczenie z Chrystusem stajemy się również coraz bliżsi sobie, przez co krok po kroku realizujemy nasze ekumeniczne zadania i coraz lepiej rozumiemy, że Kościół Jezusa Chrystusa jest jeden i niepodzielny, a wyznaniowe etykietki przestają mieć większe znaczenie.

Szkoda więc, że papież nie poszedł dalej za swoją myślą i nie pomógł milionom swych współwyznawców zgromadzonych na Stadionie Dziesięciolecia oraz przy odbiornikach telewizyjnych i radiowych dostrzec „innych chrześcijan żyjących w tej samej społeczności". Była po temu znakomita okazja, kiedy pozdrawiał różne grupy pielgrzymów i gości spoza kraju, wśród których znajdowały się delegacje ekumeniczne. Być może nie było to jego osobiste przeoczenie, jak nam tłumaczono, tylko błąd organizatorów. Delegacje ekumeniczne miały wprawdzie zarezerwowane honorowe miejsca na koronie stadionu, ale niejako „schowane", tak że nie było ich widać. Strata z tego wynikła przede wszystkim dla rzesz zwyczajnych ludzi i dla idei ekumenicznej. Kilka słów wypowiedzianych przez papieża na zakończenie mszy odprawionej na warszawskim stadionie mogłoby mieć wprost nieobliczalne skutki dla tych rzesz ludzkich. Dodatkowym efektem negatywnym jest zaś to, że nie wszyscy są dostatecznie wyrozumiali ani wielkoduszni, aby sprawę potraktować jedynie jako przeoczenie, ale odczytują ją raczej jako świadome pominięcie. Szkoda, bo taka okazja może nieprędko się powtórzyć.

Zatrzymaliśmy się nieco dłużej na sprawie spotkania ekumenicznego i incydentu na stadionie, mimo że w przekroju całej wizyty były to wydarzenia marginesowe. Różnowierczość jest bowiem w naszym kraju zjawiskiem marginesowym. Dodać jednak warto, że „zapiski marginesowe" mają czasami bardzo istotne znaczenie.

*

Cała wizyta Jana Pawła II w Polsce była wydarzeniem pierwszorzędnym dla całego narodu i to z wielu bardzo różnych względów. Trzeba było podziwiać, jak te milionowe rzesze, przejęte i rozentuzjazmowane, spieszyły na spotkanie ze swym duchowym przywódcą. Nikt ich nie nakłaniał, nie przymuszał, nie organizował. Szli z własnej woli, z osobistym pragnieniem tego spotkania, choć wielu z nich nawet nie zobaczyło tego „człowieka w białej sutannie". Jakże bowiem można było dojrzeć go spoza głów zbitego tłumu, gdzieś z zakamarków błoń dookoła warszawskiego stadionu?

Ilu ich było, tych przybyłych z Warszawy i okolic, ze wschodnich i północnych ziem polskich? Milion? Półtora? W porównaniu z tym zgromadzeniem uroczystość przed czterema laty wyglądała niemal kameralnie. Ktoś powiedział ogarniając morze głów z korony stadionu: „w porównaniu z tym stadionem Plac Zwycięstwa to podwórko". Tłumy gromadzące się na trasach przejazdu, na miejscach spotkań kolejno w Warszawie, Niepokalanowie, Częstochowie, Poznaniu, Katowicach, Wrocławiu, na Górze św. Anny, w Krakowie i Nowej Hucie mówią same za siebie i dają wiele do myślenia. Spontaniczne reakcje tego tłumu mogą być podstawą do specjalnego studium nad jego pragnieniami i tęsknotami.

Wróćmy do mszy na stadionie. Wszyscy trwają w skupionym milczeniu, gdy papież komentuje tekst biblijny, gdy rozwija zawarte w nim myśli, gdy celebruje Eucharystię. W czasie podniesienia zapada głęboka cisza, zda się, przejrzysta jak kryształ. Staje się coraz głębsza i coraz bardziej klarowna na tle odległego szumu miejskiego. Nagle w tę ciszę wpada świergot przelatującego maleńkiego ptaszka. Na dole — ponad milion ludzi, w górze — srebrzysty zaśpiew jednego ptaszka, między nimi, na podwyższeniu przy ołtarzu — jasna postać, w której rękach podnosi się i obraca dookoła biały krążek opłatka, a za chwilę złocisty kielich. Niezapomniane, niepowtarzalne wrażenie chwili.

A wśród tej rzeszy garstka ewangelików: reformowanych, luteran, baptystów, metodystów... Inaczej niż te tłumy na to patrzymy, inaczej myślimy o tym, co się tam dzieje przy ołtarzu, ale nie Innego wyznajemy, chwalimy, głosimy: tego samego Pana, którego śmierć, zmartwychwstanie i powtórne przyjście w chwale te dwa proste znaki — chleba i wina — stawiają nam przed oczy.

Pod koniec uroczystości jakiś człowiek usiłuje przedostać się zawczasu ku wyjściu, wchodzi na ławki, przepycha się. Upominany nie ustępuje. Ktoś chwyta go za rękę, siłą ściąga z ławki i odpycha z powrotem. Padają złe spojrzenia, gniewne, ciężkie słowa. Niepotrzebny incydent na tle rozmodlenia i ogólej życzliwości. Niepotrzebny? Jak zgrzyt żelaza po szybie przypomina, jacy jesteśmy, że cudu nie będzie. Bo przemiana ludzkich serc, owszem, czasem następuje nagle, jednym skokiem, jak u apostoła Pawła pod Damaszkiem, ale przeważnie dokonuje się w długotrwałym, trudnym procesie. I w cierpieniu. Wytapia się jak szlachetny kruszec w ogniu z szarej masy rudy. Coś takiego właśnie głosi kaznodzieja: „(...) mocą Boga, która za sprawą Jezusa Chrystusa działa w nas przez Ducha Świętego, człowiek powołany jest do zwycięstwa nad sobą. Do zwycięstwa nad tym, co krępuje naszą wolę i czyni ją poddaną złu. Zwycięstwo takie oznacza życie w prawdzie, prawość sumienia, miłość bliźniego, zdolność przebaczania, rozwój duchowy naszego człowieczeństwa... Chrześcijanin bowiem powołany jest w Jezusie Chrystusie do zwycięstwa. Zwycięstwo takie jest nieodłączne od trudu, a nawet cierpienia, tak jak zmartwychwstanie jest nieodłączne od krzyża".
Trudna to prawda. Czy dotrze do serc słuchaczy? Czy zechcą ją przyjąć i poddać się jej? Czy nie są słuchaczami oszukującymi samych siebie, którzy odszedłszy natychmiast zapominają, jakimi są (Jb 1:22-24)?

*

Inne etapy papieskiej podróży po krajach oglądamy na specjalnym ekranie telewizyjnym dla dziennikarzy w obwodzie zamkniętym, niedostępnym dla ogółu, który otrzymuje tylko migawkowe obrazy w dzienniku. Niestety, codzienne obowiązki pastorskie nie pozwalają obserwować wszystkiego.
Częstochowa. U stóp szczytu Jasnogórskiego widać na ekranie morze głów. W pewnej chwili zamieni się ono w morze kolorowych parasoli. Leje deszcz, ale nie rozmywa tłumu, który trwa do końca. Ważniejsze jest duchowe przeżycie, doznawane w tym centrum katolickiego kultu maryjnego.
Tutaj właśnie, na Jasnej Górze, znajduje się główny cel papieskiej wizyty — obraz Matki Boskiej, od sześciuset lat skupiający na sobie cześć i uwielbienie wiernych. Tutaj właśnie odbywa się uroczystość Jubileuszu, który przypadł w roku ubiegłym. Pochodzenie obrazu jest nie znane. Uważany za wschodnią ikonę, nie jest oryginałem, bo został na nowo namalowany w Krakowie po zniszczeniu go w XV wieku przez „bandy husyckie".
W przemówieniach papieża stale powraca myśl o jego pielgrzymce do cudownego obrazu Jasnogórskiej Pani. Kult, jakim otaczane są obrazy i sanktuaria maryjne, sama Matka Jezusowa oraz sposób mówienia o tych sprawach — wszystko to jest obce dla naszych ewangelickich oczu i uszu. Nasza wiara koncentruje się na osobie Boga Ojca, Syna i Ducha Świętego, tak jak uczy nas biblijny przekaz Bożego Objawienia, przeto akcenty maryjne, obecne w prawie wszystkich kazaniach Jana Pawła II, budzą nasze opory. Pamiętając, że jest to charakterystyczny rys katolickiej wiary, staramy się jednak bez uprzedzeń śledzić myśl papieża. To, co on mówi, ma bowiem bardzo bogatą treść religijną, patriotyczną, społeczną, moralną. Odsuwając na bok obce dla nas wątki, dostrzegamy samo jądro jego zwiastowania. Odkrywamy w maryjnej otoczce rzeczy istotne, ważne dla każdego chrześcijanina, poruszające myśli i serca Polaków. Na tej kolorowej, uczuciowo zabarwionej kanwie zaczyna wyłaniać się wyraźny zarys głównego obrazu, jakim jest Osoba i dzieło Chrystusa, nadziei naszego narodu i całego świata. Charakterystyczne są słowa interpretujące sposób koronowania obrazów Madonny. Najpierw stwierdza papież: „(...) przybywam w pielgrzymce, aby oddać chwałę Bogu Przedwiecznemu w tym narodowym sanktuarium mej Ojczyzny, w którym Pani Jasnogórska jako Służebnica Pańska oddaje Trójcy Przenajświętszej wszelką cześć i chwałę, wszelką królowanie Marii, zjednoczonej z krzyżem i śmiercią Następnie zaś, w przemówieniu „koronacyjnym" wyjaśnia, że „Koronując aktem liturgicznym obrazy lub rzeźby, naprzód wkładamy koronę na głowę Syna, Chrystusa, a potem Maryi (...). Kiedy (...) wkładamy koronę na głowę Jezusa — Jezusa jako Syna Maryi, na Jej rękach — mamy przed oczyma tę ewangeliczną prawdę o królowaniu Chrystusa". Następnie prowadzi nieco dłuższy wywód, który ma uzasadnić również królowanie Marii, zjedoczonej z krzyżem i śmiercią Syna. W takim przedstawieniu sprawy można dostrzec niejako odwrócenie proporcji obrazu, na którym widnieje wielka Maria z małym Jezusem na ręku, w tym przemówieniu na pierwszy plan wysuwa się bowiem osoba Jezusa, a obok, jakby o stopień niżej, Jego Matka. Tak właśnie jest prawidłowo, wszystko bowiem, czym się stała, zawdzięcza swemu Synowi, Zbawicielowi ludzi, również jej.
Akt koronacji też wydaje się nam wątpliwy, w czym upewnia nas sam papież, gdy mówi: „Kiedy Jezus z Nazaretu objawiał swą moc mesjańską, czyniąc znaki i cuda wielkie między ludem, lud chciał Go uczynić królem. Jednakże Chrystus odsuwał się zawsze od zwolenników Jego ziemskiego królowania (...). Tak więc w znaczeniu doczesnym Chrystus nie przyjął na swą głowę żadnej korony. Przyjął tylko z cierni, którą wtłoczono na Jego głowę, aby ośmieszyć »króla żydowskiego«. I z tą cierniową koroną na swej głowie Jezus z Nazaretu oddał duszę swoją w ręce Ojca na Kalwarii: Ukrzyżowany Król. Bo przecież jeszcze nad głową Jego wypisano tytuł Jego winy: »Jezus Nazarejczyk, król żydowski«". Przejście dalej do stwierdzenia, że wkładanie złotej korony królewskiej na obraz Jezusa jest wyrażeniem prawdy ewangelicznej o królowaniu Chrystusa (w królestwie nie z tego świata), wydaje się dość ryzykowne.
Zostawmy jednak, jak powiedzieliśmy wyżej, drażliwe sprawy na boku, aby bez uprzedzeń śledzić myśl papieża.

*

Cóż więc ma do powiedzenia Jan Paweł II, nasz wielki rodak, nam, Polakom lat osiemdziesiątych? Jak dobry kaznodzieja w interpretację tekstów biblijnych wplata myśli bliskie sercu każdego Polaka, porusza struny, które mocno rezonują w naszej duszy, bo są to sprawy bolesne codziennego życia. I wtedy reakcja słuchaczy jest natychmiastowa, nawet gdy wspomina rzeczy oczywiste, które są powszechnie uznawanym prawem każdego człowieka. Odpowiedzią nie jest wtedy cisza i skupienie, lecz burzliwe oklaski i okrzyki: niech żyje papież! Musi aż prosić, aby mu

nie przerywano i pozwolono dalej prowadzić myśl. Mówi o wolności i wyjaśnia, na czym ona polega. „Chrystus (...) stawia przed nami z pokolenia na pokolenie wielką sprawę wolności. Wolność jest dana człowiekowi od Boga jako miara jego godności. Jednakże jest mu ona równocześnie zadana. »Wolność nie jest ulgą, lecz trudem wielkości« — cytuje Leopolda Staffa. — Wolności może bowiem człowiek używać dobrze lub źle. Może przez nią budować lub niszczyć. Zawiera się w jasnogórskiej ewangelizacji wezwanie do dziedzictwa synów Bożych. Wezwanie do życia w wolności. Do czynienia dobrego użytku z wolności. Do budowania, a nie niszczenia".

W dalszym fragmencie częstochowskiego przemówienia przenosi to pojęcie na płaszczyznę narodu i państwa. „Ewangelizacja wolności ma jeszcze inny wymiar. Jest to wymiar wolności Narodu, wymiar wolnej Ojczyzny, której przywrócona została godność suwerennego Państwa. Naród jest prawdziwie wolny, gdy może kształtować się jako wspólnota określona przez jedność kultury, języka, historii. Państwo jest istotnie suwerenne, jeśli rządzi społeczeństwem i zarazem służy dobru wspólnemu społeczeństwa i jeśli pozwala Narodowi realizować właściwą mu podmiotowość, właściwą tożsamość. To pociąga za sobą między innymi stwarzanie odpowiednich warunków rozwoju w zakresie kultury, ekonomii i innych dziedzin życia społecznej wspólnoty. Suwerenność Państwa jest głęboko związana z jego zdolnością promowania wolności Narodu, czyli stwarzania warunków, które mu pozwolą wyrazić całą swoją własną tożsamość historyczną i kulturalną, to znaczy pozwolą mu być suwerennym przez Państwo".

Wolność w przekonaniu kaznodziei nie zależy jednak wyłącznie od układów politycznych ani od położenia geograficznego, lecz przede wszystkim od sposobu życia narodu i od stanu jego ducha. „Mamy bardzo trudne położenie geopolityczne. Mamy bardzo trudne dzieje, zwłaszcza na przestrzeni ostatnich stuleci. Bolesne doświadczenia historii wyostrzyły naszą wrażliwość w zakresie podstawowych praw człowieka i prawa narodu: zwłaszcza prawa do wolności, do suwerennego bytu, do poszanowania wolności sumienia i religii, praw ludzkiej pracy... Mamy też różne ludzkie słabości i grzechy, o których stale musimy pamiętać — i stale się z nich wyzwalać...". Dlatego przypomina nam ważną prawdę, że „(...) naród ginie, gdy znieprawia swego ducha — naród rośnie, gdy duch jego coraz bardziej się oczyszcza; tego żadne siły zewnętrzne nie zdołają zniszczyć!".

W oczyszczeniu ludzkiego ducha zasadniczą rolę spełnia Ewangelia głoszona w sposób jasny i przyjmowana do serc, które pod jej wpływem przeżywają nawrócenie. Nic więc dziwnego, że w przemówieniu do Episkopatu na Jasnej Górze z mocą podkreślił papież znaczenie ewangelizacji. W tym to kontekście powiedział: „Długie doświadczenia dziejowe, zwłaszcza doświadczenia ostatnich stuleci, a jeszcze bardziej może — ostatnich dziesięcioleci, przemawiają za tym, że Kościół w Polsce pozostaje w głębokiej więzi z Narodem. Jest to więź ewangeliczna i duszpasterska. Pozostaje ona na tej samej linii, na której cały Kościół współczesny pragnie być — w duchu Ewangelii i Vaticanum II — »Kościołem ubogich«, nie zamykając się przez to bynajmniej w stosunku do nikogo, w stosunku do żadnej grupy społeczej ani do żadnego człowieka". Dalej cytuje adhortację Pawła VI: „... Ewangelizacja nie byłaby pełna, gdyby się nie brało pod uwagę wzajemnego odniesienia, jakie ciągle zachodzi między Ewangelią a konkretnym, osobistym i społecznym życiem człowieka. Dlatego ewangelizacja domaga się jasnego, dostosowanego do różnych warunków życia i stale realizowanego przepowiadania na temat praw i obowiązków każdej osoby ludzkiej, na temat życia rodzinnego, bez którego nie ma rozwoju jednostki, życia zbiorowego w społeczeństwie, życia międzynarodowego, na temat pokoju, sprawiedliwości i postępu..."

*

Zgodnie z tymi wskazówkami autor encykliki „Laborem exercens" przestrzega w swoich przemówieniach związku między Ewangelią a życiem człowieka. Porusza więc bardzo ważną dziedzinę — pracy, zaniedbaną przez Kościół katolicki w naszym kraju, a tak mocno rozwiniętą przez ewangelicką etykę pracy, co widać wyraźnie na przykładzie krajów o większości ewangelickiej. Posłuchajmy, co powiedział o tym w Katowicach, gdzie za słuchaczy miał ludzi tak ciężkiej pracy, jak górnicy i hutnicy. „Praca ludzka odniesiona jest do Boga Stwórcy. Bóg bowiem, stwarzając człowieka na swój obraz i podobieństwo, polecił mu czynić sobie ziemię poddaną. To wyrażenie biblijne jest szczególnie głębokim i bogatym w treść określeniem pracy. (...) Praca (...) jest podstawowym powołaniem człowieka na tej ziemi. Mówię o tym w roku, który jest nadzwyczajnym jubileuszem Odkupienia. Kościół cały pragnie w tym roku szczególnie głęboko zaczerpnąć sił duchowych z tajemnicy Odkupienia. Człowiek pracy wezwany jest do tego, aby pełniej odczytał odkupieńczą treść Ewangelii pracy. Wezwany jest również do tego, aby przez swą własną pracę łączył się z Chrystusem-Odkupicielem świata, który także był »człowiekiem pracy« (...) Praca ludzka stoi bowiem pośrodku całego życia społecznego. Przez nią kształtuje się sprawiedliwość i miłość społeczna, jeżeli całą dziedziną pracy rządzi właściwy ład moralny. Jeśli jednakże tego ładu brak, na miejsce sprawiedliwości wkrada się krzywda, a na miejsce miłości nienawiść. (...) Praca posiada swoją zasadniczą wartość dlatego, że jest spełniana przez człowieka. Na tym opiera się też godność pracy, która winna być uszanowana bez względu na to, jaką pracę człowiek wykonuje. Ważne jest to, że wykonuje ją człowiek. Wykonując jakąkolwiek pracę, wyciska na niej znamię osoby: obrazu i podobieństwa Boga samego. Ważne jest także to, że człowiek wykonuje pracę dla kogoś, dla drugich. Praca jest powinnością człowieka: zarówno wobec Boga, jak też wobec ludzi, zarówno wobec własnej rodziny, jak też wobec narodu-społeczeństwa, do którego należy. Tej powinności — czyli obowiązkowi pracy — odpowiadają też uprawnienia człowieka pracy. Należy je ujmować w szerokim kontekście praw człowieka. Sprawiedliwość społeczna polega na poszanowaniu i urzeczywistnianiu praw człowieka w stosunku do wszystkich członków danego społeczeństwa".

Dalej wyraża pragnienie, „ażeby te podstawowe zasady ładu społecznego, od których zależy sens ludzkiej pracy, a wraz z nią sens bytowania człowieka, przyoblekły się w realny kształt życia społecznego na naszej ziemi. Człowiek nie jest bowiem w stanie pracować, gdy nie widzi sensu pracy, gdy sens ten przestaje być dla niego przejrzysty, gdy zostaje mu niejako przesłonięty".

W stosunkach między ludźmi zasadniczą rolę odgrywa zaufanie. Bez zaufania wprost nie można sobie wyobrazić prawidłowego funkcjonowania żadnej grupy społecznej, począwszy od rodziny, przez zakład pracy aż do narodu i państwa. Bez zaufania rozpadają się więzi społeczne, rozpada się też więź między władzą i społeczeństwem wymagająca — opartej na nim — wzajemnej lojalności. Można sobie wyobrazić lojalność wymuszoną strachem i przemocą, ale nie taka jest nam potrzebna. Kto chce lojalności, musi zasłużyć sobie na zaufanie, a tego nie osiągnie za pomocą pustych, choćby najpiękniejszych słów i deklaracji. Jeśli nie uda mu się na zaufanie zasłużyć, będzie musiał uciec się do środka prostego, ale skutecznego tylko do czasu, mianowicie do siły, którą wymusi sobie posłuszeństwo. O takim zaufaniu w różnych kręgach społecznych mówił Jan Paweł II we Wrocławiu. Powołując się na przykład św. Jadwigi Śląskiej, uczył: „Wspólnota małżeńska i rodzinna buduje się na zaufaniu wzajemnym. Jest to dobro podstawowe wzajemnych odniesień w rodzinie. Odniesienie wzajemne małżonków — i odniesienie wzajemne rodziców i dzieci. Najgłębszym fundamentem tych odniesień jest ostatecznie to zaufanie, jakim sam Bóg obdarza małżonków stwarzając ich i powołując ich do życia we wspólnocie małżeńskiej i rodzinnej. (...) Rodzina jest sobą, jeżeli buduje się na takich odniesieniach, na wzajemnym zaufaniu, na zawierzeniu wzajemnym. Tylko na takim fundamencie można też budować proces wychowania, który stanowi podstawowy cel rodziny i jej pierwszorzędne zadanie".

Zaufanie powstaje tylko wtedy, jeżeli u jego podłoża legnie miłość i prawda. W tym kierunku idzie myśl papieża: „Dlatego ufają sobie wzajemnie małżonkowie, że sobie wierzą, że spotykają się w prawdzie. Dzieci ufają rodzicom dlatego, że spodziewają się od nich prawdy — i ufają o tyle, o ile otrzymują od nich prawdę. Prawda jest więc fundamentem ufności. I prawda jest też mocą miłości. Wzajemnie też miłość jest mocą prawdy. W mocy miłości człowiek gotów jest przyjąć nawet najtrudniejszą, najbardziej wymagającą prawdę".

To samo odnosi się do szerszych kręgów społecznych, do stosunków w parafii, Kościele, miejscu pracy, do stosunków między mieszkańcami jednego domu, a także do narodu i państwa. „Cały naród musi żyć we wzajemnym zaufaniu! — mówi kaznodzieja. — Owszem, musi odzyskać to zaufanie w najszerszym kręgu swej społecznej egzystencji. Jest to sprawa zupełnie podstawowa. Nie zawaham się powiedzieć, że od tego właśnie — od tego przede wszystkim — zależy przyszłość Ojczyzny. (Zależy też polska racja stanu.) Trzeba centymetr po centymetrze i dzień po dniu budować zaufanie — i odbudowywać zaufanie — i pogłębiać zaufanie! Wszystkie wymiary społecznego bytu, i wymiar polityczny, i wymiar ekonomiczny, oczywiście — wymiar kulturalny i każdy inny opiera się ostatecznie na tym podstawowym wymiarze etycznym: prawda — zaufanie — wspólnota. Tak jest w rodzinie. Tak jest też na inną skalę w narodzie i państwie. Tak jest wreszcie w całej rodzinie ludzkości".

*

Podobnie, z przekonującą siłą, przemawiał papież również przy innych okazjach. Nie sposób w jednym artykule omówić wszystkich wątków jego przesłania. A poruszał sprawy dziejów ojczystych, i tych najdawniejszych, i tych najświeższych, mówił o pokoju, sprawiedliwości, odpowiedzialności, o naszych własnych winach, o pojednaniu, nienawiści i przebaczeniu, o modlitwie potrzebnej nie tylko tym, którzy cierpią, ale i tym, którzy cierpienia zadają. Przekazywał prawdy proste i jasne oraz skomplikowane i trudne.

Był to głos człowieka, który idąc za głosem powołania zawierzył mądrej dewizie Uniwersytetu Jagiellońskiego „Plus ratio quam vis" — rozum to więcej niż siła. Oby jego rozumne orędzie do narodu, całego narodu, zakiełkowało w duszach i przyniosło plon wielokrotny.

*

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga do czytelników katolickich od autora tego tekstu. Znalazły się w nim pewne uwagi krytyczne, których celem nie było ani zranienie kogokolwiek, ani nawet dotknięcie czyichś uczuć. Musiał autor pisać zgodnie ze swoim przekonaniem, aby to sprawozdanie z podróży papieża po Polsce było, zgodnie ze słowami papieża, prawdziwe. Pozwólcie więc jeszcze przytoczyć słowa szwajcarskiego myśliciela reformowanego, Aleksandra Vineta: „Z Reformatorów zrobiono antykatolików wbrew nim samym; protestant stał się synonimem antykatolika, lecz... prawdziwy reformowany wcale nie jest antykatolikiem ani, jak sądzę, prawdziwy katolik antyprotestantem; obydwaj należą do Chrystusa, jeżeli Chrystusa kochają i polegają na Nim...".

Spotkanie ekumeniczne

Pracowity program pobytu papieża Jana Pawła II w Polsce zawierał również spotkanie ekumeniczne, które zaplanowano na piątek, 17 czerwca, o godz. 13 w rezydencji arcybiskupów warszawskich. Mało brakowało, by odbyło się ono w niepełnym składzie, delegaci kilku Kościołów mieli bowiem niejakie trudności w dotarciu na punkt zborny przy ul. Miodowej. Mimo okazania formalnych zaproszeń na oficjalnym formularzu z podpisem Księdza Prymasa, milicjanci strzegący wylotu ul. Miodowej nie przepuścili kilkunastoosobowej grupy gości papieskich. Dopiero po interwencji droga się otworzyła. Przed wejściem do Pałacu Arcybiskupów odbyła się zaś szczegółowa kontrola indywidualna. Po zamachach na życie papieża taka ostrożność nie dziwi, choć miła nie jest. „Badani" podeszli jednak do sprawy z humorem i po tym „torze przeszkód" znaleźli się wreszcie na miejscu.

W sali audiencyjnej stoi, jeszcze pusty, tron papieski na podwyższeniu, obok kilka krzeseł dla towarzyszących kardynałów. Naprzeciwko stoją półkoliście dwa rzędy krzeseł. Przybyli goście zajmują miejsca i zaczyna się czekanie. Po jakimś czasie sprawa opóźnienia wyjaśnia się. Przeciągnęły się rozmowy w Belwederze. Trudno, tam omawiano bardzo ważne sprawy, bardzo istotne dla całego Narodu i zapewne wykraczające poza problemy naszego kraju.

Napiętą atmosferę przedłużającego się oczekiwania rozładowuje humorem i serdecznością gospodarz spotkania, ks. bp Alfons Nossol, ordynariusz opolski, przewodniczący Komisji Episkopatu ds. Ekumenizmu. Gdy do sali wlewa się tłum dziennikarzy, fotoreporterów i kamerzystów telewizyjnych, wiadomo, że za chwilę pojawi się Jan Paweł II.

Biała postać papieża ukazuje się wreszcie w otoczeniu towarzy-

Moment wręczenia przez Jana Pawła II pamiątkowego medalu księdzu biskupowi Zdzisławowi Trandzie (foto: „Interpress")

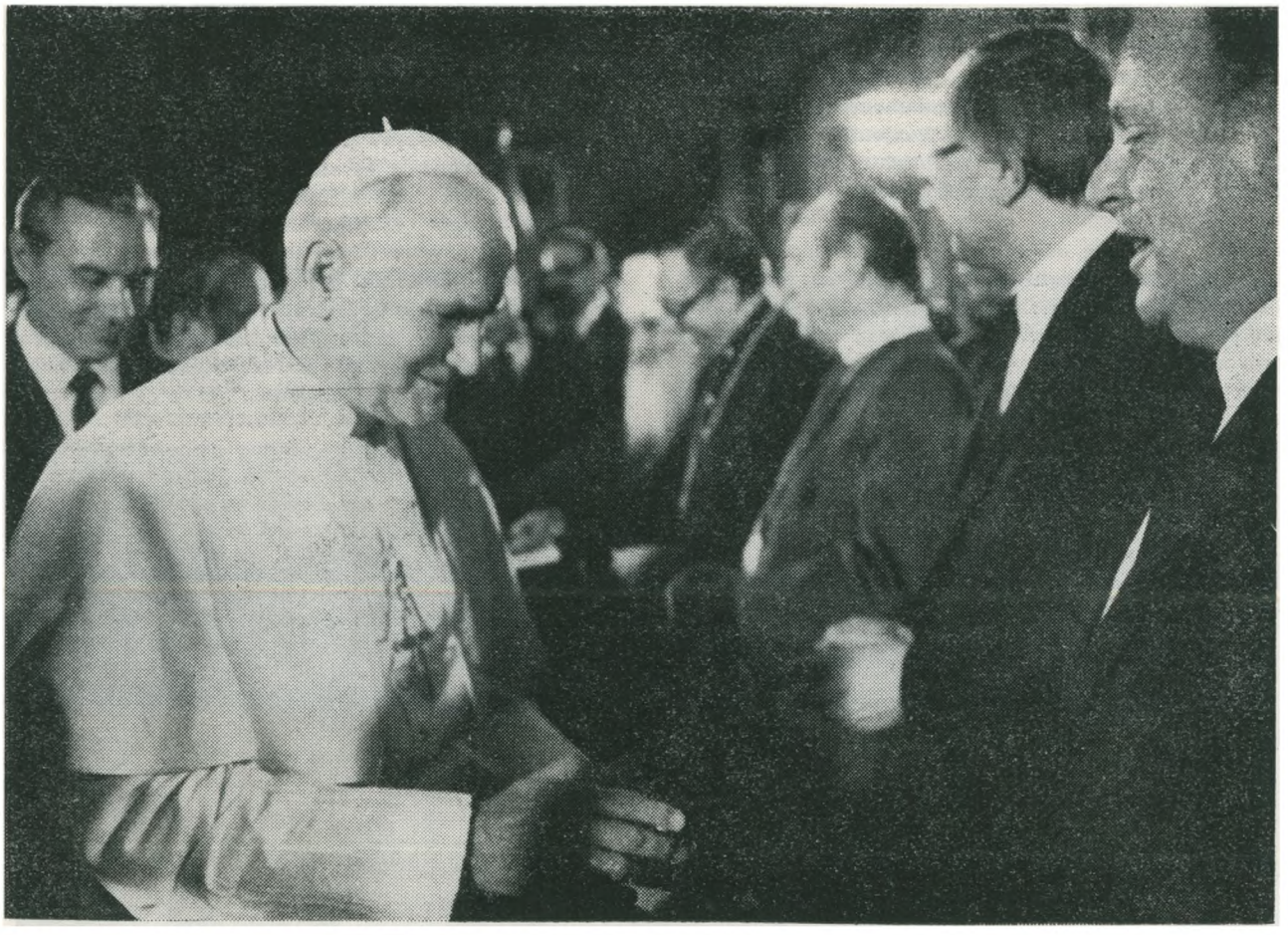

szących mu kardynałów. Przy wejściu do sali papież żartobliwie pyta: „Co ja teraz mam robić? Chyba zaczniemy od przedstawienia się". Ceremonia przywitania i prezentacji odbyła się w sposób bezpośredni — Jan Paweł II przeszedł wzdłuż obu rzędów krzeseł, każdemu zaproszonemu podając rękę, a ks. bp Władysław Miziołek, wiceprzewodniczący Komisji Episkopatu ds. Ekumenizmu, wymieniał nazwiska i funkcje poszczególnych osób.

Gdy papież zasiadł już na przeznaczonym dla siebie miejscu, ks. prof. Witold Benedyktowicz, honorowy prezes Polskiej Rady Ekumenicznej, wygłosił w imieniu gości, utrzymane w ciepłej tonacji, przemówienie powitalne, po czym wręczono Janowi Pawłowi II dary: Pismo święte oraz ikonę świętych Cyryla i Metodego. Z kolei przemówił papież, przypominając na wstępie słowa reformowanego teologa Karola Bartha i określając go jako jednego z duchowych ojców II Soboru Watykańskiego. Przemówienie zakończyła rozpoczęta przez Jana Pawła II i podjęta przez wszystkich zebranych Modlitwa Pańska.

Żegnając się z uczestnikami spotkania papież podarował każdemu z nich medal ze swą podobizną na awersie i wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej oraz napisem „Regina Poloniae, ora pro nobis" — na rewersie. Obecni otrzymali również słynną książkę „Nie lękajcie się. Rozmowy z Janem Pawłem II", napisaną przez nawróconego dziennikarza francuskiego, André Frossarda.

Przypominamy, że Kościół Ewangelicko-Reformowany reprezentowany był na tym historycznym spotkaniu przez pięć następujących osób: ks. bp. Zdzisława Trandę, ks. Jerzego Stahla, ks. Władysława Paschalisa oraz przez panią prezes Konsystorza dr. Dorotę Niewieczerzał i pana prezesa Synodu dr. Jana Zaunara. „Jednotę" reprezentował redaktor naczelny ks. Bogdan Tranda.

Poniżej drukujemy teksty obu przemówień — ks. prof. Witolda Benedyktowicza i Jana Pawła II.

PRZEMÓWIENIE KS. WITOLDA BENEDYKTOWICZA

Nie ma odrodzenia bez pokuty

Wasza Świątobliwość,

W imieniu Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej pragnę wyrazić radość z tego spotkania. Nasze zadowolenie i wdzięczność są tym większe, że przed czterema laty spotkanie takie nie doszło do skutku.

Na ulicach Warszawy widzimy transparenty witające Waszą Świątobliwość jako p i e l g r z y m a n a d z i e i. Rozumiemy trud pielgrzymki i towarzyszymy w niej Waszej Świątobliwości, bo wszyscy jesteśmy pielgrzymami; Kościół chrześcijański to przecież communio viatorum.

Na spotkaniu ekumenicznym obok Papieża stoją od lewej: ks. Jerzy Stahl, ks. bp Władysław Miziołek, dr Jan Zaunar, prezes Synodu, dr Dorota Niewieczerzał, prezes Konsystorza, ks. Aleksander Kircun (baptysta)

(foto: „Interpress")

Ta druga wizyta Waszej Świątobliwości w tym kraju została określona w prasie jako historyczna. Istotnie, żyjemy w wartkim nurcie historii. W ostatnich trzech latach przeżywamy przyspieszenie strumienia historii; tyle wydarzeń, tyle zmian, chciałoby się nieraz powiedzieć, że zbyt wiele rzeczy dzieje się w tak krótkim czasie. Chcielibyśmy może, żeby mniej się działo. W tym przyspieszonym rytmie wydarzeń uczymy się historii. Uczymy się jej na bieżąco, przez całe życie, jak kiedyś uczyliśmy się jej w ławkach szkolnych, z podręczników.

Przeżywamy więc proces uczenia się. Uczymy się cierpliwości, pokory i modlitwy. Uczymy się tego w obliczu cierpień. Cierpienie było udziałem Waszej Świątobliwości dwa lata temu w maju. Wszyscy przeżywaliśmy zamach, wstrząs i niepokój stąd płynący i modliliśmy się o ocalenie Waszej Świątobliwości. To była solidarność modlitwy przyczynnej. Pielęgnowaliśmy tę solidarność modlitwy w obliczu śmierci Prymasa Tysiąclecia ks. kardynała Wyszyńskiego. Nie ustawaliśmy w modlitwach przyczynnych także w wolnych od smutku chwilach, podczas intronizacji nowego Prymasa Polski, arcybiskupa Józefa Glempa, który wkrótce potem gościł nas i był naszym gościem, gościem Polskiej Rady Ekumenicznej.

Współuczestniczyliśmy też w cierpieniach narodu. Do wielu bolączek i trudności przyłączyły się bowiem dotkliwe braki, które łagodziła nam pomoc od współwyznawców z zagranicy. Uczyliśmy się wtedy sztuki wzajemnego dzielenia otrzymanych dóbr i nawiązaliśmy w tej dziedzinie owocną współpracę z Komisją Charytatywną Episkopatu. Przede wszystkim jednak uczyliśmy się dostrzegać oblicze duchowe tej pomocy. Motywacja ofiarodawców była bowiem natury chrześcijańskiej, duchowej. Równie cenne jak ta pomoc materialna były modlitwy przyczynne zanoszone za nasz Kraj, za Kościół w Polsce przez tych, którzy nam pomagali. Więc uczyliśmy się, jak na to odpowiedzieć modlitwą przyczynną i jak przyswoić sobie sztukę dzielenia, dzielenia się między sobą, a w przyszłości pomagania tym regionom świata, gdzie potrzeby i nędza są większe niż u nas.

Uczyliśmy się tej prawdy, że żyjemy tylko z łaski, sola gratia, na którą odpowiedzią ma być wiara. Uczyliśmy się nadziei, ale nie iluzorycznej, lecz realnej, o niej to mówi Poeta, że posiada „chrześcijańską moc". Uczyliśmy się ufności, ale też i tej prawdy, że ufność może zwyrodnieć w zadufanie. Uczyliśmy się miłości. Nie jest to łatwe. Tu bowiem zaraz zgłaszał się rozum, który nam kazał racjonować miłość, kochać selektywnie, tych, którzy są dla nas mili, życzliwi, przyjacielscy. I choć jesteśmy przyzwyczajeni do racjonowania dóbr w naszym obecnym położeniu, uświadamialiśmy sobie, że miłość chrześcijańska idzie dalej, że mamy kochać nie tylko tych, którzy są dla nas mili i dobrzy.

Z wizytą Waszej Świątobliwości wiążą się różne oczekiwania. Są to oczekiwania nie tylko różne i różniące się między sobą, ale także sprzeczne. Jak je pogodzić, jak je spełnić? Jest to jeszcze jeden trud tej pielgrzymki. Dlatego życzymy Waszej Świątobliwości obfitych błogosławieństw Bożych na tym pątniczym szlaku.

Pragnę teraz zwrócić uwagę na Słowo Boże, w którym szukamy światła, inspiracji przy każdej sposobności. Również i to spotkanie nie może się obejść bez poselstwa, jakie niesie Słowo Boże. Według kalendarza Jednoty Braterskiej, Unitas Fratrum (właśnie w dniu dzisiejszym mamy rocznicę założenia ich miasta „Herrnhut" — „Straż Pańska"), przepisany jest na dziś tekst z księgi Jonasza, cały rozdział III. Jonasz z woli Pana miał iść do Niniwy, która może być symbolem uniwersalnym — miasta bez Boga lub miejsca, gdzie się czci fałszywe bóstwa. Nad Niniwą zawisła groźba zagłady, jak i dziś nad naszym kontynentem, nawet nad światem całym, zawisło widmo katastrofy. Lecz poselstwo Jonasza jest radosnym poselstwem. Prorok głosi o c a l e n i e, ale pod warunkiem pokuty, przemiany życia, odnowy. I niniwici pokutują, spełniają ten warunek. Tego potrzeba i nam, w naszym kraju i wszędzie, na całym świecie: odrodzenia, radykalnego zwrotu, pokuty. Marcin Luter, którego pięćsetlecie urodzin przypada w tym roku, w swojej pierwszej tezie wittenberskiej mówi, że Chrystus wzywając do pokuty chce, aby całe życie chrześcijan było pokutą. Tak, bez pokuty nie ma nowego życia, nie ma odrodzenia, cała egzystencja chrześcijańska ma być procesem przemian, odnowy, pokuty.

Wasza Świątobliwość ogłosił rok bieżący jako jubileuszowy Rok Odkupienia. Gdy myślimy o dziele odkupienia, musimy pamiętać, jak wielka była jego cena. Wielki jest koszt, wielka jest cena zbawienia, jak wielka jest też cena łaski, bo nie ma, bo nie chcemy „taniej łaski".

Jest takie powiedzenie, że kiedy jest najciemniej, wtedy znów błyska nadzieja. I dziś, gdy jest mroczno nad światem, widzimy przecież światła nadziei. Za miesiąc odbędzie się w Vancouver, w Kanadzie, VI Ogólne Zgromadzenie Światowej Rady Kościołów pod hasłem „Jezus Chrystus życiem świata". Wobec zagrożenia śmiercią i globalną katastrofą, żyjemy nadzieją, że Jezus Chrystus, który jest życiem świata, jest też przyszłością, gwarantem przeżycia i przetrwania rodu ludzkiego. To hasło jest również wyrazem naszej nadziei. W tym właśnie duchu, w duchu nadziei, witamy i pozdrawiamy serdecznie Waszą Świątobliwość na polskiej ziemi.

A teraz pragniemy przekazać dary, które są wyrazem naszych uczuć. Jest to Pismo św., jedna z najnowszych edycji, oraz ikona. Pismo św., Biblia w słowie i w piśmie, i Biblia w obrazie, bo czymże jest ikona, jak nie Biblią w rysunku, barwie i pięknie. One wyznaczają granice, między nimi mieści się bogactwo różnorodności naszych postaw, aspiracji, poglądów. Niech te dary będą wyrazem tego ducha, w jakim spotkaliśmy się, w jakim przyjmujemy obecność Waszej Świątobliwości wśród nas.

Wierzymy inaczej, ale nie w Innego

Drodzy Bracia w Chrystusie,

„Drogę naszą do was niech utoruje sam Bóg, Ojciec nasz i Pan nasz Jezus! A Pan [...] niech spotęguje waszą wzajemną miłość dla wszystkich, jaką i my mamy dla was" (I Tes. 3: 11-12). Te słowa modlitwy o wzajemną miłość, które Apostoł Paweł napisał niegdyś do wspólnoty wierzących w Tesalonikach, dzisiaj kieruję do wszystkich Braci chrześcijan w mojej Ojczyźnie, z którymi łączy mnie ta sama apostolska wiara w Jezusa Chrystusa. Razem możemy bowiem powtórzyć za wybitnym teologiem protestanckim, zaliczonym do grona duchowych ojców odnowy związanej z Soborem Watykańskim II, iż „wciąż jeszcze wierzymy inaczej, ale przecież nie w Innego" (Karl Barth). Doświadczenie żywej wiary w tego samego Jezusa Chrystusa, naszego Pana i Odkupiciela, wyznacza ekumeniczny charakter dzisiejszego spotkania w Warszawie. Gorąco pragnąłem tego spotkania jeszcze w czasie mojej pierwszej podróży apostolskiej do ojczystego Kraju. Wyrażając wdzięczność za list, który otrzymałem wtedy od przedstawicieli Polskiej Rady Ekumenicznej, powiedziałem na Błoniach Krakowskich, że „jeżeli nawet z powodu zagęszczonego programu zajęć nie doszło do spotkania w Warszawie — pamiętajcie, Drodzy Bracia w Chrystusie, że to spotkanie noszę w sercu jako żywe pragnienie i wyraz ufności na przyszłość" (AAS. 71, 1979, s. 878). Z radością przeto składam dzięki Panu za to, iż dzisiaj użyczył mi tego, czego w sercu pragnąłem i że dozwolił mi wypełnić każdy mój zamysł (por. Ps. 20:5). Wierzę, że radość ta jest obopólna, bo płynie z tego samego Źródła, którym jest Chrystus. To On przewodzi naszemu spotkaniu, gdyż Sam o tym nas zapewnił: „Bo gdzie są dwaj albo trzej zebrani w imię moje, tam jestem pośród nich" (Mat. 18:20).

Polskim pozdrowieniem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus" witam wszystkich uczestników tego spotkania ekumenicznego, zarówno katolików, jak i innych chrześcijan.

Witam serdecznie Przewodniczącego Komisji Episkopatu do Spraw Ekumenizmu, Księdza Biskupa Alfonsa Nossola, Ordynariusza Diecezji Opolskiej. Jest wśród nas Ksiądz Biskup Władysław Miziołek, Biskup pomocniczy Archidiecezji Warszawskiej, Zastępca Przewodniczącego tejże Komisji; w jego osobie witam niestrudzonego rzecznika ekumenizmu nad Wisłą.

Braterskie pozdrowienia miłości i pokoju kieruję do obecnych na dzisiejszym spotkaniu Przedstawicieli ośmiu Kościołów zrzeszonych w Polskiej Radzie Ekumenicznej, której od kilku miesięcy przewodzi Biskup Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego Janusz Narzyński. Pozdrawiam również obecnych tutaj Przedstawicieli Wspólnot Żydowskich i Muzułmańskich, z którymi łączy nas wiara w Jedynego Boga, Wszechmogącego, Miłosiernego i Sprawiedliwego.

Nasze spotkanie ożywia duch braterskiej miłości, wyróżniający Ewangelię Chrystusową. Z tego ducha braterskiej miłości rodzi się w stosunkach międzyludzkich wzajemna wyrozumiałość, poszanowanie cudzych poglądów i upodobań, a zwłaszcza odmiennych wierzeń lub zwyczajów. Jest to duch tolerancji, tak głęboko zakorzeniony w naszych tradycjach religijnych, społecznych i narodowych, że Polska słusznie zasłużyła na miano „państwa bez stosów".

Duch otwartości ku drugim oraz pragnienie wzajemnego zbliżenia pomiędzy różnymi wyznaniami chrześcijańskimi ożywiały od dawna dążenia ekumeniczne w tym Kraju. Pozwólcie, że wspomnę tutaj „Colloquium Charitativum", zwołane w 1645 roku do Torunia, z inicjatywy biskupów katolickich zgromadzonych dwa lata wcześniej na synodzie warszawskim oraz przy poparciu króla Władysława IV. Owo „spotkanie miłości" miało na celu przywrócenie jedności i zgody między katolikami, luteranami i kalwinistami. Jego przebiegiem interesowano się w całej Europie. Długotrwałe dyskusje, w których wzięło udział 76 teologów, obejmowały głównie doktrynę, praktyki i obyczaje. Z powodu jaskrawych różnic dogmatycznych, a także uwarunkowań społecznych nie osiągnięto zamierzonego porozumienia. Zdaniem historyków toruńskie „Colloquium Charitativum" stanowiło wszakże próbę osiągnięcia jedności przez konfrontację poglądów. Choć nie przyniosło spodziewanych rezultatów, niemniej wzbudziło szacunek dla duchowych i politycznych przywódców Rzeczypospolitej, dając niejako początek praktycznemu ekumenizmowi.

Ostatni Sobór Powszechny Watykański II wyraźnie spotęgował w Kościele katolickim pragnienie jedności, o którą Chrystus prosił Ojca w godzinie rozstania z uczniami (por. Jn 17). Jesteśmy świadomi, że powrót do pełnej jedności wymaga wielkiej pokory i miłości, odwagi i nadziei. Pod tchnieniem Ducha Świętego pokonaliśmy już niemało trudności i przeszkód. Z wielu Kościołami i Wspólnotami Chrześcijańskimi prowadzimy oficjalny dialog ekumeniczny w duchu szukania prawdy w miłości. Rokują dobre nadzieje na przyszłość coraz większe zbliżenie i otwarcie się Polskiej Rady Ekumenicznej i Kościoła Rzymskokatolickiego, zwłaszcza szczere rozmowy i wspólne wysiłki ekumeniczne w Komisji Mieszanej Obu Stron.

Z radością przyjmuję od moich Braci w biskupstwie każdą wiadomość o Tygodniu Modlitw o Jedność Chrześcijan, który od wielu lat jest obchodzony tradycyjnie w miesiącu styczniu. Wspólne modlitwy wyznawców Chrystusa są nie tylko doskonałą sposobnością po temu, żeby dostrzec innych chrześcijan żyjących w tej samej społeczności, ale nade wszystko stanowią zachętę do praktykowania żywszej wiary. Są poniekąd wezwaniem do głębszego umiłowania Chrystusa, w którym wszyscy stanowimy jedno! Choć niekiedy mamy inne obyczaje, inny styl myślenia, jednakże czujemy się wszyscy wezwani do ściślejszego zjednoczenia z Chrystusem i wokół Chrystusa. Właśnie temu służą modlitwy o jedność Kościołów. Bez tych modlitw ruch ekumeniczny nie byłby tym, czym jest.

Nie są mi obce również inne konkretne przykłady ekumenizmu w praktyce. Mam zwłaszcza na myśli dzielenie się dorobkiem naukowym i kulturalnym, który jest owocem chrześcijańskiej refleksji nad Objawieniem Bożym i nad dziejami Kościołów. W książ-

kach i czasopismach katolickich i niekatolickich — wprawdzie w niewielkich nakładach — coraz częściej są publikowane teksty autorów należących do różnych tradycji teologicznych. Publikacje te świadczą o wzajemnej, stale pogłębianej znajomości teologów katolickich i chrześcijańskich. Szerszym kręgom wiernych pozwalają śledzić przemiany, które się dokonują w Kościele Powszechnym i w całym chrześcijaństwie. Bardzo ożywione są nasze kontakty z poszczególnymi Kościołami Prawosławnymi. Z Komisją Mieszaną Katolicko-Wszechprawosławną współpracują czynnie przedstawiciele z Polski; znany jest ich udział w spotkaniach na Patmos i w Monachium, poświęconych problematyce teologicznej. Wszystko to niewątpliwie przyczynia się do kształtowania nowych, rzetelnych postaw ekumenicznych. Jest to także swoisty dialog na rzecz wzajemnego poznania się i miłowania w jednej, wielkiej wspólnocie wierzących w Chrystusa. Za tę godną szacunku i uznania służbę ekumeniczną w Polsce składam moim współwyznawcom i wyznawcom innych Kościołów chrześcijańskich należne „Bóg zapłać", upraszając dla ich wysiłków i dalszych osiągnięć błogosławieństwo od Pana.

Pragnę także złożyć życzenia owocnej, braterskiej współpracy tym, którzy wezmą udział w zgromadzeniu Światowej Rady Kościołów, obradującym na przełomie lipca i sierpnia w Vancouver, pod hasłem: „Jezus Chrystus życiem świata".

Na zakończenie tego spotkania pragnę ponowić ów gorący apel, jaki skierowałem „do wszystkich, na których spoczywa odpowiedzialność za inne Kościoły i Wspólnoty kościelne oraz do ich członków", gdy zapowiadałem Jubileusz Odkupienia wszystkim wiernym świata katolickiego (Przemówienie do kardynałów i członków Kurii Rzymskiej, 9. „L'Osservatore Romano", 24 grudnia 1982). Wskazując na wartości tego Jubileuszu podkreślałem, że jest on „wielką posługą na rzecz ekumenizmu. Świętując Odkupienie przechodzimy ponad dziejowymi niezrozumieniami i przypadkowymi kontrowersjami, aby znaleźć się na wspólnym gruncie bycia chrześcijanami, czyli odkupionymi. Odkupienie jednoczy nas wszystkich w jednej miłości Chrystusa ukrzyżowanego i zmartwychwstałego" (tamże). Dlatego proszę was, Drodzy Bracia, abyście razem z Kościołami i Wspólnotami „towarzyszyli obchodom Roku Jubileuszowego swoją modlitwą, swoją wiarą w Chrystusa Odkupiciela, swoją miłością, która niech stanie się w nas coraz żarliwszym pragnieniem realizacji modlitwy Jezusa poprzedzającej Jego odkupieńczą mękę: »aby wszyscy stanowili jedno« (Jn17:21)" (tamże). Złączeni więzią braterskiej miłości i pokoju, módlmy się wspólnie słowami modlitwy, której nauczył nas sam Chrystus: „Ojcze nasz...".

MAREK K. MLICKI

Nasze postawy wobec kary śmierci

Z karą śmierci spotykamy się już w dziełach prawniczych z początków naszej ery. Występowała ona zarówno w skodyfikowanych systemach prawnych, np. w prawie rzymskim, jak i w nie pisanych prawach plemion i szczepów germańskich, frankońskich czy anglosaskich. Kara śmierci przeszła, wraz z całym prawodawstwem, ewolucję dotyczącą zakresu jej stosowania i sposobów wykonania. Wyraźnie zaznaczyła się tendencja do ujednolicania sposobów wykonywania kary śmierci i jednocześnie do eliminowania bardziej okrutnych metod. I tak np. w prawie niemieckim z X—XV wieku przewidywano łamanie kołem, powieszenie, ścięcie, spalenie na stosie oraz gotowanie we wrzątku lub oleju — każda z tych metod (poprzedzana niekiedy dodatkowymi torturami) przyporządkowana była określonej grupie przestępstw.

W dzisiejszym prawodawstwie większości krajów przewiduje się kary nie narażające skazanych na duże cierpienia fizyczne; powieszenie, rozstrzelanie czy krzesło elektryczne określa się jako „humanitarne" metody wykonywania wyroków śmierci. W danym państwie stosuje się zasadniczo jeden rodzaj wykonania kary, odrębnie bywają niekiedy traktowani skazani wojskowi i żołnierze. W Polsce w stosunku do osób cywilnych stosuje się powieszenie, w stosunku do wojskowych — rozstrzelanie.

Ograniczany jest także zakres przestępstw zagrożonych karą śmierci, choć — co warte odnotowania — w tej sprawie różnice w porównaniu z wiekami średnimi nie są tak znaczne. W polskim prawie karnym karą śmierci zagrożone są, co chyba warto przypomnieć, następujące przestępstwa: zdrada ojczyzny, spisek przeciwko PRL, szpiegostwo, zamach terrorystyczny, sabotaż, kierowanie wielką aferą gospodarczą, umyślne zabójstwo, rabunek z użyciem broni, odmowa wykonania rozkazu w sytuacji bojowej, a także niektóre przestępstwa popełnione w trakcie stanu bezpośredniego zagrożenia bezpieczeństwa państwa albo w czasie mobilizacji i wojny.

W polskiej terminologii prawniczej kara śmierci jest określana jako kara zasadnicza o charakterze wyjątkowym, co przejawia się między innymi następująco:

— Dla wszystkich wymienionych przestępstw jest kara śmierci karą alternatywną, tj. sąd ma możliwość wymierzenia za te przestępstwa również innych kar (długoterminowego pozbawienia wolności).

— Kara śmierci nie może być stosowana do kobiet ciężarnych i osób, które nie ukończyły lat osiemnastu. Nie może być wykonana na osobie obłożnie chorej i chorej psychicznie (zostaje wówczas odroczona do momentu wyzdrowienia).

— W przypadku jej orzeczenia Rada Państwa rozważa zastosowanie prawa łaski, niezależnie od tego, czy skazany bądź ktoś inny w jego imieniu zwrócił się o to, czy nie.

— Wykonanie kary śmierci jest ściśle nadzorowane przez prokuratora i lekarza.

Pierwsze głosy przeciwko karze śmierci odnotować można już w Średniowieczu, choć były one nieliczne i nie wywarły wpływu na praktykę prawodawstwa. Początki bardziej masowego ruchu filozofów i myślicieli przeciwko stosowaniu kary śmierci przypadają na czasy Oświecenia i wiązane są z nazwiskiem Cesare Boccarii. Abolicjoniści, gdyż tak nazywano przeciwników kary śmierci, odnosili początkowo pewne sukcesy, jednakże wkrótce ich wpływy ustały i dał się zauważyć wzrost represyjności prawodawstw europejskich.

Kolejny okres aktywności abolicjonistów przypada na wiek XIX, szczególnie na jego drugą połowę. Opierając się na rozpowszechnionych wówczas pojęciach „humanitaryzmu", „liberalizmu" i „utylitaryzmu", domagali się oni zniesienia lub przynajmniej radykalnego ograniczenia stosowania kary śmierci. Podobnie jak w wieku XVIII, po początkowych niewielkich sukcesach, polegających na ograniczeniu stosowania kary śmierci, pierwsze lata wieku XX przynoszą wzrost represyjności prawodawstw. Represyjność nasila się jeszcze podczas wojen światowych. Wobec milionów istnień ludzkich zabitych na wojnie lub zamordowanych w różnych obozach zagłady zanika problem prawomocnie wymierzanej śmierci. Pojawia się natomiast po II wojnie światowej problem oceny prawomocności. To, co było dopuszczalne, a nawet nakazywane, przez prawodawstwo Niemiec hitlerowskich i ich sojuszników, zostało bowiem uznane za zbrodnie najcięższego kalibru.

Trzeci okres aktywnej działalności abolicjonistów przypada na czasy nam współczesne, lata po drugiej wojnie światowej. Niektóre kraje europejskie (RFN, Włochy, Wielka Brytania) i pozaeuropejskie (Kanada, niektóre stany Ameryki Północnej) znoszą całkowicie karę śmierci, inne ograniczają jej stosowanie.

Przesadą byłoby twierdzenie, że głosy filozofów i uczonych miały zasadniczy wpływ na ustawodawstwo karne, niemniej jednak ich wypowiedzi przeciwko karze śmierci odegrały pewną rolę. Z drugiej jednak strony niejednokrotnie słychać też głosy zwolenników stosowania kary śmierci. W ostatnich latach postulują oni przywrócenie tej kary, motywując to wzrastającą falą przestępstw przeciwko życiu, szczególnie zaś zabójstw politycznych i aktów terroryzmu. Jest to zgodne z pewną ogólną prawidłowością, w myśl której w czasach spokojnych stosowanie kary śmierci bywa ograniczone lub znoszone. W okresach rewolucji, przewrotów, napięć społecznych i międzynarodowych oraz wojen represyjność prawodawstwa wyraźnie rośnie.

Po tym krótkim rysie historycznym przejdę do postaw wobec kary śmierci. Przez postawę wobec kary śmierci będę tu rozumiał opowiadanie się przez człowieka za jej stosowaniem lub przeciwko niemu, niezależnie od tego, czy i jak opcja taka jest uzasadniana. Zanim jednak opiszę postawy społeczeństwa polskiego, zatrzymam się chwilę nad najważniejszymi argumentami przedstawianymi przez prawników i filozofów za karą śmierci i przeciwko niej.

Zwolennicy kary śmierci twierdzą, że działa ona odstraszająco, jest sprawiedliwą odpłatą (za największe przestępstwa — największa kara), jest środkiem eliminującym niepoprawnych przestępców zagrażających społeczeństwu, przywraca naruszony porządek moralny, jest ekonomiczniejsza od kary więzienia.

Przeciwnicy kary śmierci negują wszystkie powyższe stwierdzenia. Akcentują możliwość nieodwracalnej pomyłki sądowej i konieczność utrzymywania kata, zwracają uwagę na odbieranie człowiekowi możliwości poprawy. Chrześcijanie, a także przedstawiciele innych religii twierdzą, że człowiek nie ma prawa odbierać życia swojemu bliźniemu.

Pozostawię na razie wszystkie te argumenty bez oceny. Zobaczmy teraz, jakie są poglądy społeczeństwa polskiego. W 1964 roku zespół polskich naukowców pod kierunkiem prof. Adama Podgóreckiego przeprowadził badania socjologiczne na temat postaw wobec prawa, w tym wobec kary śmierci. W ankiecie brało udział 3000 respondentów, którzy stanowili reprezentatywną próbę społeczeństwa polskiego. Oznacza to, że wyniki badań nad tymi ludźmi mogą być uogólnione na całe społeczeństwo, którego z przyczyn oczywistych przebadać nie sposób. Wszystkim badanym zadano pytanie, czy ich zdaniem należy stosować karę śmierci. Odpowiedzi były następujące: około 12% twierdziło, że zdecydowanie nie, 20% — raczej nie, 32% — raczej tak, 16% — zdecydowanie tak, 18% — nie miało wyrobionego zdania.

Jeżeli wyróżnimy zwolenników i przeciwników, niezależnie od tego, czy są zdecydowani, czy też niezdecydowani, to okazuje się, iż prawie 50% społeczeństwa polskiego opowiada się za karą śmierci, a 32% jest jej przeciwne. Jeżeli jednak nie uznamy niezdecydowanych za zwolenników lub przeciwników i połączymy ich w jedną grupę z tymi, którzy nie mają wyrobionego zdania, to wówczas proporcje wyglądają inaczej: 12% społeczeństwa sprzeciwia się karze śmierci, 16% ją popiera, a aż 70% nie ma zdecydowanej opinii w tej sprawie. Autorzy cytowanych badań nie dokonali tego ostatniego grupowania. Myślę jednak, że jest ono zasadne. Gdyby bowiem ankietowani, zamiast odpowiadać na czysto abstrakcyjne pytanie, mieli decydować w konkretnych sprawach, to sądzę, że niezdecydowani zwolennicy i przeciwnicy woleliby wstrzymać się od wygłaszania swojego zdania. W świetle tak interpretowanych danych można chyba nieco inaczej spojrzeć na często przytaczane opinie o istniejącej w społeczeństwie przewadze zwolenników kary śmierci.

Tym z badanych, którzy określili się jako przeciwnicy kary śmierci, zadano pytanie o przyczyny takiej postawy. W odpowiedzi 1/4 pytanych podała okrucieństwo kary, 1/4 istnienie nadziei poprawy i 1/4 fakt, że życie ludzkie jest najwyższą wartością. Najmniej, bo 5%, zwracało uwagę na możliwość pomyłki sądowej. Jak widać, podawane przyczyny są częściowo zbieżne z argumentami prawników i filozofów — abolicjonistów.

Tym z badanych, którzy określili się jako zwolennicy kary śmierci, zadano pytanie, w jakich przypadkach należy, ich zdaniem, karę tę stosować (można było podać więcej niż jedną przyczynę). Połowa pytanych odpowiedziała: „śmierć za śmierć", 37% opowiedziało się za karaniem śmiercią morderców — sprawców umyślnego zabójstwa, 12% pytanych było za karaniem śmiercią szpiegostwa i przestępstw przeciwko państwu, 6% za karaniem w ten sposób przestępców gospodarczych. Poniżej 4% ankietowanych opowiedziało się za wymierzaniem kary śmierci chuliganom, gwałcicielom i tym, którzy popełnili zbrodnie przeciwko ludzkości.

Gdyby interpretować te wyniki jako stopień poparcia społeczeństwa, to wnioski są następujące. Dużym po-

parciem cieszy się karanie śmiercią sprawców umyślnych zabójstw — opowiada się za tym 44% populacji. Dużo mniejsze poparcie otrzymuje kara śmierci za szpiegostwo i przestępstwa przeciwko państwu — 6% całej populacji. Nikłe jest poparcie społeczne dla karania śmiercią przestępców gospodarczych — zaledwie 3% populacji.

Autorzy cytowanych tu badań nie ograniczyli się jednak do statystycznej analizy postaw wobec prawa. W polu ich zainteresowań znalazły się również osobowościowe korelaty określonych postaw. Innymi słowy, interesowało ich, co powoduje, że jedni ludzie opowiadają się za karaniem łagodnym, inni zaś za surowym; jedni popierają karę śmierci, inni są jej przeciwni.

Pomiędzy zwolennikami kary śmierci a jej przeciwnikami wykryto następujące różnice:

— Ludzie popierający karę śmierci byli gorzej przystosowani społecznie niż jej przeciwnicy, częściej uskarżali się na złe samopoczucie psychiczne.

— Zwolennicy kary śmierci byli surowiej wychowani w domu, charakteryzowali się mniejszym zaufaniem do ludzi i większym niezadowoleniem z życia niż jej przeciwnicy.

— Zwolennicy kary śmierci wykazywali się niższą wiedzą ogólną i prawną niż jej przeciwnicy.

Powyższe wyniki pozwalają na sformułowanie kilku ogólnych wniosków dotyczących postaw wobec kary śmierci:

1. Popieranie kary śmierci wynika nie tyle z przemyślenia tego problemu, ile z określonego typu osobowości. Jest wyrazem ogólnej postawy wobec innych (nieufność, zazdrość) i ma źródło w określonych wewnętrznych problemach. Łączy się z generalną skłonnością do surowego karania, np. zwolennicy kary śmierci często opowiadali się za wprowadzeniem kary chłosty, będącej de facto formą tortur.

2. Prawidłowość powyższa dotycząca społeczeństwa dotyczy również, w pewnym stopniu, tych, którzy tworzą prawo. Tak więc istnienie w danym prawodawstwie kary śmierci nie jest spowodowane względami li tylko racjonalnej natury.

3. Zmiana społecznych warunków życia powinna w pewnej mierze wpływać na ilościowy stosunek zwolenników i przeciwników kary śmierci. Innymi słowy — społeczne poparcie dla kary śmierci lub jego brak nie są stałe, mogą ulegać zmianom w krótkich odcinkach czasu. Potwierdzają to badania amerykańskie. Otóż na przestrzeni 10 lat (1966—1976) ilość przeciwników kary śmierci zmalała tam z 47% do 28%, zwolenników wzrosła z 42% do 65%, a niezdecydowanych zmalała z 11% do 7%. Bez dodatkowych badań nie można mówić o związku przyczynowo-skutkowym, a jedynie o współwystępowaniu zjawisk.

Wyniki i interpretacja cytowanych tu badań powodują, że warto chyba poddać krytycznej analizie najważniejsze argumenty wysuwane przez zwolenników i przeciwników kary śmierci.

Koronnym argumentem w dzisiejszych, zorientowanych na sprawność działania czasach, jest skuteczność kary śmierci. Twierdzi się mianowicie, że pełni ona funkcję zapobiegawczą, tj. powstrzymuje ludzi od popełniania ciężkich zbrodni. W świetle naukowych danych twierdzenie to można zaliczyć do życzeń raczej niż faktów.

Badania psychologiczne dowiodły, że kara działa skutecznie (na karanego i na innych), jeżeli jest natychmiastowa, powtarzana z odpowiednią częstotliwością, jawna, dotycząca zawsze i wszystkich oraz surowa. Kara śmierci na karanego w sensie wychowawczym nie oddziałuje wcale. Nigdy nie jest natychmiastowa — przeciwnie, z powodu apelacji wymierzana bywa długo po zaistnieniu przestępstwa (w jednym przypadku w USA wymierzono ją w 12 lat po orzeczeniu). Jej częstotliwość jest uwarunkowana wieloma względami, nigdy jednak skutecznością oddziaływania na ludzi. Egzekucje w większości cywilizowanych krajów nie są jawne. Kara śmierci nie dotyczy wszystkich i zawsze, jest bowiem karą alternatywną. Jedynym warunkiem skuteczności, jaki spełnia, jest więc jej surowość.

Badania socjologiczne, dotyczące nie kar w ogóle, ale kary śmierci, potwierdziły przewidywania oparte na psychologii. W Stanach Zjednoczonych badano wpływ ogłoszenia w TV o wykonaniu wyroku śmierci na popełnianie w następnych dniach ciężkich przestępstw. Okazało się, że żadnego wpływu nie ma. Badanie statystyk zbrodni w krajach, gdzie karę śmierci za niektóre przestępstwa zniesiono, a następnie przywrócono, dowodzi, że jej skuteczność odstraszania jest nikła.

Następnym argumentem jest, według zwolenników kary śmierci, eliminowanie osobników zagrażających społeczeństwu i niepoprawnie zdemoralizowanych. Argument ten jest słuszny, ale jedynie częściowo, kara śmierci nie jest bowiem jedynym środkiem eliminacji. Równie dobrze pełni tę rolę kara dożywotniego więzienia. Mankamentem tej ostatniej jest, podnoszona przez zwolenników kary śmierci, kosztowność więzienia. Z argumentem tym, niepoważnym wobec wagi sprawy, będę polemizował jedynie z poczucia rzetelności. Otóż, po pierwsze, więźniowie często pracują i zarabiają na swoje utrzymanie — co wobec dziennych stawek na ich życie nie jest trudne. Po drugie, liczba prawomocnych skazań na śmierć jest tak niewielka, że koszty zastąpienia ich dożywotnim więzieniem są nieistotną sumą w budżecie państwa.

Innym argumentem na rzecz kary śmierci jest konieczność jej wykonania dla uspokojenia opinii społecznej, dla rozładowania frustracji. Jednakże okazuje się, że w tych stanach Ameryki Północnej, w których istnieje kara śmierci, liczba aktów lynchu jest większa niż w stanach, gdzie kara śmierci nie istnieje. Jest to zgodne z niektórymi badaniami psychologicznymi, które dowiodły, że obserwacja aktów agresji może wzmagać agresję obserwatorów, nie zaś, jak powszechnie się sądzi, neutralizować ją i rozładowywać.

Jak się więc okazuje, argumenty dowodzące społecznych funkcji kary śmierci nie wytrzymują krytyki w świetle wielu współczesnych badań naukowych. Wydają się one być przeżytkami z epoki przednaukowej. Jest to zjawisko szczególne, gdyż przeżytki takie należą w dzisiejszych „racjonalnych i unaukowionych" czasach do rzadkości.

Innego rodzaju argumentów za stosowaniem kary śmierci dostarczają tzw. teorie retrybutywne. Ich głosiciele dowodzą, iż ciężkie przestępstwa naruszają porządek moralny w takim stopniu, że może on być przywrócony jedynie przez wykonanie na sprawcy zbrodni wyroku śmierci. Jest to argument czysto spekulatywny i nie można go obalić racjonalnymi kontrargumentami. Można jednak zastanowić się nad jego

spójnością, stosując również spekulatywne myślenie.
Porządek moralny jawi się tu jako budowla, na kształt domku z klocków, z którego ktoś może jeden klocek wyjąć i wówczas dom się chwieje. Ktoś inny może ten klocek włożyć i wówczas dom odzyskuje równowagę. Być może tak jest, ale może być inaczej. Powstaje pytanie, skąd autorzy tej teorii znają tak dokładnie zasady równowagi porządku moralnego, na czym się opierają.
O porządku moralnym, który pojawia się w wielu filozofiach i religiach, mówi się, że jest jeden, niezmienny, istniejący tak w kosmosie, jak i w człowieku. Jeżeli tak, to ludzie nie mogą zasadnie określać, jakie zbrodnie go naruszają, a jaka kara przywraca. W Średniowieczu bowiem czarownika lub kacerza palono na stosie, dziś czyny te nie są karane w ogóle. Gdyby przyjąć, że porządek moralny jest zrelatywizowany do czasu i miejsca, to nie sposób stwierdzić, czy słuszna jest opinia prawodawcy określającego zbrodnie karane śmiercią, czy przestępcy, który przeważnie nie uważa, że na tę karę zasługuje. To, że ustawodawca ustala przepisy karne, wynika jedynie z faktu, iż ma władzę do ich ustalenia i egzekwowania.
Niekiedy, nie wdając się w dalsze rozważania, twierdzi się, że kara śmierci jest sprawiedliwą odpłatą za najcięższe zbrodnie. Jednakże pojęcie sprawiedliwości nie jest bynajmniej jednoznaczne. Jeśli intuicyjnie można postawić znak równości między umyślnym zabójstwem a karą śmierci (choć dotyczy to tylko zewnętrznych objawów czynu), to trudno jest tak uczynić w przypadku przestępstw gospodarczych. Chyba że ustali się przelicznik pomiędzy zagrabionymi wartościami materialnymi a życiem ludzkim. Fakt, że za kierowanie wielką aferą wymierza się karę śmierci, za drobniejsze przestępstwa gospodarcze nie świadczy, iż przelicznik taki jest niekiedy czyniony.
Wydaje się więc, że również metafizyczne argumenty zwolenników kary śmierci nie wytrzymują krytyki, a przynajmniej nie są przekonywające.
Rozważmy teraz w podobny sposób argumenty przeciwników kary śmierci.
Słuszny jest bez wątpienia argument, iż kara śmierci nie pełni funkcji odstraszania (w każdym razie nie pełni jej skutecznie) i nie jest jedynym środkiem eliminowania ze społeczeństwa jednostek niepoprawnych i zdemoralizowanych. Wykazują to przytaczane poprzednio badania naukowe.
Rację też mają ci, którzy twierdzą, iż wykonując karę ryzykuje się popełnienie zabójstwa w przypadku pomyłki sądowej. Niemniej jednak ryzyko jest znikomo małe ze względu na szczególnie dokładne i kilkakrotne analizowanie spraw zagrożonych śmiercią.
Pozostałe argumenty przeciwników kary śmierci nie poddają się naukowej weryfikacji, są bowiem oparte na wierze. Jeżeli bowiem twierdzę, że człowiek nie ma prawa odbierać drugiemu człowiekowi życia, to mówiąc tak wyciągam wniosek z wiary. Z wiary, że istnieje Bóg, że tylko On jest szafarzem życia ludzkiego, tylko On może nas sądzić — tylko On zna bowiem nasze dusze. Mogę też nie wyciągać żadnych wniosków, a jedynie spełniać przykazanie „nie zabijaj". Przykazanie to bywało różnie interpretowane, niemniej jednak jest ono podane bez żadnych ograniczeń czy warunków dodatkowych. A wówczas „nie zabijaj" znaczy „nie zabijaj nigdy i nikogo". Mogę też kierować się największym przykazaniem — przykazaniem miłości. Wówczas nie będę zabijał ani skazywał na śmierć, z pewnością zaś nie uczynię tego wtedy, gdy zadanie śmierci nie służy już niczemu poza odpłatą, nie jest sposobem zapobieżenia znacznie większemu złu.
Twierdzi się też, że życie ludzkie jest wartością najwyższą i dlatego kara śmierci nie powinna istnieć. Takie zdanie wygłaszają często ludzie nie wierzący w Boga. Ale i oni opierają się na pewnej wierze, mianowicie na wierze w wartość życia ludzkiego.
Podobnie jest z argumentem, iż istnienie kary śmierci jest związane z koniecznością utrzymywania instytucji kata, a więc człowieka zawodowo i w majestacie prawa odbierającego innym życie. I ten argument oparty jest na wierze.

Myślę, że mogę teraz postarać się wyciągnąć pewne wnioski natury ogólnej.
Porównanie czysto racjonalnych i pragmatycznych argumentów za stosowaniem kary śmierci i przeciwko niej prowadzi do stwierdzenia, że nie ma żadnych dobrze uzasadnionych przyczyn jej stosowania. Można, z punktu widzenia dobra społeczeństwa, zastąpić ją np. karą dożywotniego więzienia. „Można" — nie oznacza jednak „trzeba". Nie ma bowiem racjonalnych argumentów za jej niestosowaniem. Podobnie zresztą nie można, abstrahując od konsekwencji prawnych, wysunąć racjonalnych argumentów przeciwko zabijaniu ludzi, zadawaniu im cierpienia i bólu.
Jeżeli chodzi o argumenty oparte na przyjmowanych bez dowodu założeniach, lub inaczej — na wierze w Boga i w wartość ludzkiego życia — to skłaniają one do rezygnacji z kary śmierci. Brak tej wiary, co warte zauważenia, nie rodzi żadnych argumentów za stosowaniem kary śmierci. Argument o porządku moralnym jest, jak starałem się wykazać, niespójny wewnętrznie.
Powstaje niepokojące pytanie, dlaczego więc tak wielu ludzi deklaruje się jako zwolennicy kary śmierci i dlaczego istnieje ona w wielu kodeksach karnych. Sądzę, iż przyczyny są dwie. Po pierwsze, popieranie kary śmierci wynika z dążenia do odwetu w jego raczej prymitywnej i nie przemyślanej postaci. Jest w dużej mierze wynikiem pewnych psychospołecznych zaburzeń niektórych ludzi. Jedną z wielu przyczyn tych zaburzeń jest brak wiary w Boga, co psychologicznie można interpretować jako brak oparcia w czymś, co istnieje poza i ponad człowiekiem. Interpretację tę można częściowo udowodnić w oparciu o badania psychologii filozoficznej, wykracza to jednak poza ramy niniejszego opracowania.
Po drugie, wielu zwolenników kary śmierci wierzy prawdopodobnie w jej skuteczność jako środka odstraszania i ochrony społeczeństwa (życia, zdrowia i mienia ludzi) przed zamachami ze strony zdeprawowanych przestępców. Wiara ta wynika z niewiedzy lub braku przemyśleń, gdyż badania naukowe dowodzą nieskuteczności kary. Do przemyśleń i własnych poszukiwań wiedzy brak zresztą bodźca, gdyż większość ludzi ma dziś — częściowo słuszne zresztą — przekonanie o braku swego wpływu na ustawodawstwo.
Niewiedza i prymitywna chęć zemsty jako zasadnicze argumenty na rzecz kary śmierci... Wnioski są dość pesymistyczne. Takich pesymistycznych wniosków można — obserwując dzisiejszą rzeczywistość — wyciągnąć, niestety, dużo więcej.

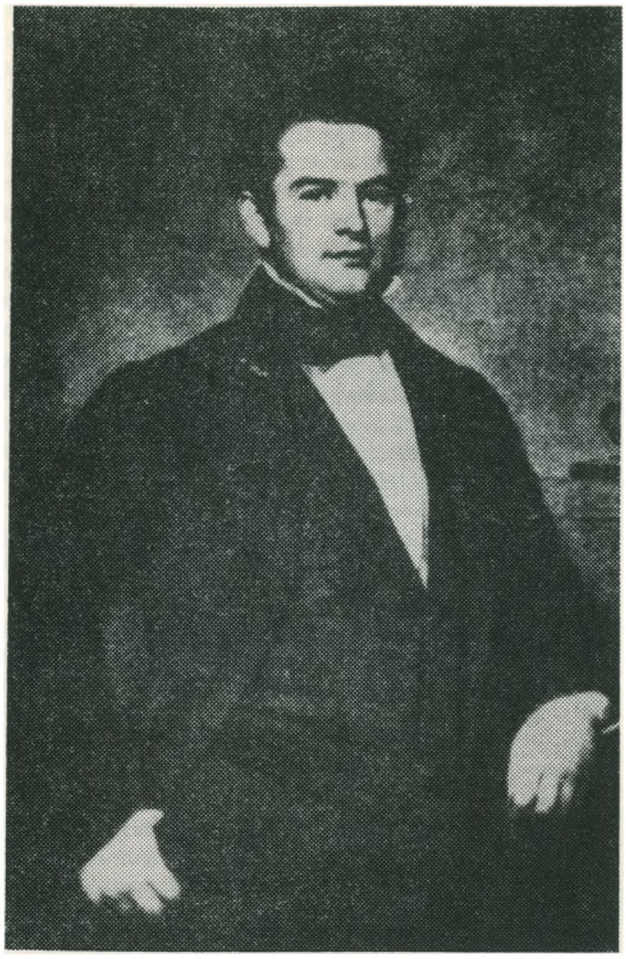

Tak wyglądał Leopold Kronenberg około roku 1852, kiedy miał lat czterdzieści, był mężem i ojcem oraz właścicielem ogromnej fortuny, odgrywającym przodującą rolę w ówczesnym życiu gospodarczym

MAREK RUSZCZYC

Portret warszawskiego milionera

CZĘŚĆ PIERWSZA

Postać Leopolda Kronenberga, wielkiego bankiera, kupca i przemysłowca, wpisała się na trwałe w dzieje rozwoju gospodarczego ziem polskich pod zaborem rosyjskim w XIX wieku. Zaczynał skromnie jako dzierżawca warszawskiego Monopolu Tabacznego, a gdy umierał w 1878 r., pozostawiał synom w spadku ogromną fortunę, której wielkości zapewne sam nie potrafił oszacować. Posiadał wiele i czynił wiele. Był inicjatorem nowoczesnego przemysłu w Królestwie Polskim: budował fabryki, koleje, kopalnie, huty, tworzył spółki i domy bankierskie, towarzystwa kredytowe, nabywał rozległe dobra ziemskie, które kwitły gospodarczo, wchodził w sfery ziemiańskie i arystokratyczne, by ukoronować swe ambicje życiowe uzyskaniem tytułu barona. Stanął na świeczniku społecznym i poruszał się na nim godnie, sprawując wielostronny mecenat kulturalny, finansując gazety, wspomagając wybitnych pisarzy i uczonych, wnosząc wkład w rozwój urbanistyczny Warszawy. Gdy nadszedł czas próby: okres wielkich manifestacji patriotycznych w Warszawie przed powstaniem styczniowym, nie uchylił się od odpowiedzialności, choć był zdecydowanym przeciwnikiem akcji zbrojnej przeciw Rosji, uważając ją za szaleństwo w ówczesnych warunkach. Wysunął się na czoło stronnictwa „białych", którego symbolem był hr. Andrzej Zamoyski, blisko z Kronenbergiem związany najpierw współpracą gospodarczą, później pokrewieństwem poprzez ożenek syna naszego bohatera.

Portret warszawskiego milionera stanowi ciekawe studium socjologiczno-społecznych przemian zachodzących na ziemiach polskich pod zaborem rosyjskim w okresie między dwoma narodowymi powstaniami: listopadowym 1830 i styczniowym 1863. Ujrzymy w dziejach życia, kariery i czynów Leopolda Kronenberga wzorcowy niemal przykład wrastania potężniejącego w siły wielkiego mieszczaństwa polskiego w sfery ziemiańskie, trzymające dotąd narodowe „władztwo dusz". Ujrzymy też, jak w tyglu przemian świadomości, kultury i obyczaju narodowego stapiają się w jeden potężny żywioł polski przybyłe nie tak dawno nad Wisłę rody niemieckie, żydowskie, francuskie czy angielskie. Ujrzymy jakąś przedziwną siłę przyciągania tych nacji w obręb polskich aspiracji narodowych, wpisywanie się ich w polskość, poświadczaną pracą, walką i wytrwałością. W przypadku Kronenberga ten konglomerat będzie szczególnie interesujący: poczuciu polskości towarzyszyć będzie porzucenie religii ojca i dziada: wyznania mojżeszowego, przejście na chrześcijaństwo, zasilenie wspólnoty ewangelicko-reformowanej, w czym niemały był wpływ żony.

Od najwcześniejszego dzieciństwa wychowywany był Leopold Kronenberg w atmosferze polskiej, w duchu asymilatorskich tendencji ojca, Samuela, wyznawcy oświeceniowego liberalizmu. Samuel Kronenberg był emigrantem z Prus, przybył do Warszawy po trzecim rozbiorze Polski, był właścicielem domu bankowego. Leopold przyszedł na świat 24 marca 1812 r. Jego dzieciństwo i najwcześniejsza młodość przypadły na czasy Królestwa Kongresowego, owej cząstkowej „niepodległości", kiedy to obietnice i konstytucja nadana przez cara Aleksandra I otwierały przed Polakami nadzieje lepszej doli, a rzeczywistość stałego łamania tych obietnic i paragrafów tej konstytucji powodowała, że duży odłam opinii publicznej przechodził do opozycji, przyjmując postawę najpierw biernego, później czynnego oporu, przejawiającego się mnożącymi się jak grzyby po deszczu sprzysiężeniami tajnymi wśród młodzieży, oficerów, inteligencji (Wolnomularstwo Na-

rodowe i Towarzystwo Patriotyczne mjr. Waleriana Łukasińskiego, akademicka Panta Koina, wreszcie sprzysiężenie Piotra Wysockiego).

Leopold kształcił się w renomowanym gimnazjum pijarów na Żoliborzu, a po śmierci ojca w 1826 r. uczęszczał do szkoły przygotowawczej warszawskiego Instytutu Politechnicznego w oddziale handlowym. Gdy w kraju trwało powstanie 1830 r., młody adept handlu odbywał praktykę bankierską w Hamburgu, później podjął studia uniwersyteckie w Berlinie i wrócił do kraju dosłownie nazajutrz po upadku powstania. W tym właśnie czasie na miejscu zlikwidowanej szkoły pijarskiej, do której uczęszczał Kronenberg, wielkorządca Królestwa, feldmarszałek Paskiewicz, wznosił Cytadelę, która jak złowrogi cień zawiśnie nad buntowniczym miastem. Tępiono każdy przejaw niezależnej myśli, tropiono emisariuszy rozgromionego powstania, wydłużały się listy „niepoprawnych" obywateli.

Nieobecność młodego Leopolda w kraju podczas powstania niewątpliwie ułatwiła mu start w karierze gospodarczej. Już w 1833 r. staje się właścicielem domu handlowego przy ul. Świętojerskiej, którego przez jakiś czas współwłaścicielką była matka. Na szersze wody wyprowadza go przyjaźń i współpraca z młodym, rzutkim bankierem Matiasem Rosenem. „Ci, którzy znali wówczas młodego Kronenberga — pisze w swym wspomnieniu Józef Ignacy Kraszewski — powiadają, że obiecywał już, do czego miał dorosnąć w przyszłości. Umysł to był niezmiernie żywy, pojęcie bystre, duch śmiały i przedsiębiorczy, wola niezłomna. Mimo woli wpływowi jego nawet starsi ulegali. Zwracał szczególniej uwagę otwartym i bezwzględnym występowaniem przeciw wadom i pretensjonalnym śmieszności, którym nigdy nie pobłażał. Usposobienie to zachował do zgonu. Śmiałość ta jednała mu szacunek przyjaciół, a w gronie poufałych żartobliwie przezywano go bocianem, usiłującym świat oczyszczać".

Ten sam pisarz daje nam garść szczegółów o życiu prywatnym młodego bankiera, mieszkającego wówczas przy ulicy Świętojerskiej w domu Ossowskiego w kilku pokoikach w oficynie. „Dla siebie był nader wymagającym... Pracował z bezprzykładną wytrwałością, oprócz interesów zajmując się nauką języków. Co niedziela po obiedzie zbierali się u niego na pogadankę przyjaciele i znajomi. Umiał ich Kronenberg wybierać... Zbliżył się już wtedy młody finansista do hrabiego Aleksandra i Ksawerego Branickich, z którymi później i przyjaźń go łączyła, a najbardziej do hrabiego Leona Łubieńskiego, który najlepiej ponoć ocenić go umiał i przeczuł, jakie w przyszłości zajmie stanowisko".

Leon Łubieński, syn napoleończyka — generała Tomasza, ozdoba warszawskich salonów, był współzałożycielem „Biblioteki Warszawskiej", jedynego wówczas poważnego czasopisma o aspiracjach naukowych, publikującego wiele cennych rozpraw i przyczynków pióra uczonych historyków, prawników, etnografów, krytyków literackich, drukującego w odcinkach powieści takich pisarzy, jak: Kraszewski, Sienkiewicz, Dygasiński. Przez wiele lat redaktorem „Biblioteki" był znany gawędziarz i historyk Warszawy, Kazimierz W. Wójcicki. To właśnie Kronenberg i Rosen w najtrudniejszych dla czasopisma latach 1846—1848 wyasygnują jego redaktorom 18 tysięcy rubli. Ta dotacja rozpoczynała ciąg świadczeń Kronenberga na rzecz wspierania inicjatyw naukowych i kulturalnych stolicy.

Kto wspina się na szczeble kariery menagera gospodarki, kto, jak Kronenberg, ma ambicje wielokierunkowe — był finansistą w wielkim stylu, animatorem budowy nowoczesnego przemysłu w Królestwie, ożywienia kredytowego, otworzenia kupiectwu polskiemu szerokich horyzontów europejskich — musi mieć styczność z władzą. Kronenberg utrzymywał kontakty z ministrem Ignacym Turkułłem, Polakiem, który był pośrednikiem między Radą Administracyjną rządzącą Królestwem a carem, a w okresie późniejszym, za namiestnikostwa księcia Gorczakowa z innym członkiem Rady Administracyjnej, Enochem. Nikt przecież, nawet ludzie niechętni Kronenbergowi, nie wątpił o jego polskich uczuciach, o prawości obywatelskiej, o ofiarności społecznej w duchu pozytywistycznych ideałów organicznikowskich, których dewizą było, że im więcej się posiada, tym więcej trzeba pamiętać o obowiązkach wobec współrodaków. W niezwykle ciężkich warunkach bytowania politycznego Polaków pod rządami rosyjskimi miało to ogromne znaczenie dla wzmacniania trwania żywiołu polskiego na różnych polach gospodarczych, kulturalnych i naukowych.

W 1845 r. następuje moment zwrotny w życiu osobistym Leopolda Kronenberga. 4 września poślubia młodszą od siebie o 15 lat Ernestynę Rozalię Leo, zwaną w gronie rodzinnym i przyjacielskim Różą, córkę znanego warszawskiego lekarza Leopolda Augusta Leo, współzałożyciela Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego, autora wielu cennych prac z dziedziny medycyny. Dr Leo pochodził ze spolszczonej rodziny żydowskiej, która już w 1831 r. przeszła z wyznania mojżeszowego na ewangelicyzm reformowany. Pod wpływem narzeczonej zmienia wyznanie i Kronenberg. „Decyzja o porzuceniu wiary ojców narażała go w środowisku żydowskim, w szczególności jego konserwatywnemu, ortodoksyjnemu skrzydłu nie aprobującemu odstępców — zauważa powojenny biograf naszego bohatera, Ryszard Kołodziejczyk. Także wśród swoich nowych współwyznawców jako neofita był traktowany z pewną rezerwą". Uwaga słuszna, jeśli idzie o połowę XIX wieku. W drugiej połowie tego stulecia chrzty stały się już zjawiskiem dość powszechnym w środowisku elity mieszczańskiej i inteligencji żydowskiej. Nikogo też już specjalnie nie szokowały, dawna rezerwa wspólnot chrześcijańskich wobec nowo nawróconych znikła zupełnie.

Leopold Kronenberg zmienił więc wyznanie, zmienił kawalerski tryb życia. Młode małżeństwo zamieszkało początkowo przy ul. Świętojerskiej, pan Leopold wprowadził żonę do kawalerskiego mieszkania złożonego z trzech pokojów. Jak powiada Kraszewski, to pierwsze małżeńskie locum było więcej niż skromne: jeden przegrodzony parawanem pokój służył za sypialnię i salonik, drugi był bawialnią i stołowym, w trzecim mieściło się biuro prywatne Kronenberga. „Wszystko to umeblowane było po prostu, bez pretensji, sprzętami używanymi, nabytymi po zmarłym bracie Stanisławie. Na stajni było parę koni i lekki powóz" (Ryszard Kołodziejczyk).

Ta prostota nie trwała jednak długo. Swemu rosnącemu majątkowi i nowo założonej rodzinie pragnie Kronenberg nadać odpowiednią oprawę poprzez nabycie obszernego pałacyku przy ul. Długiej, gdzie przeprowadzają się Kronenbergowie w 1846 r. Tam też przychodzą niemal co rok dzieci: w 1846 r. najstarszy syn, Stanisław Leopold, w półtora roku później Władysław

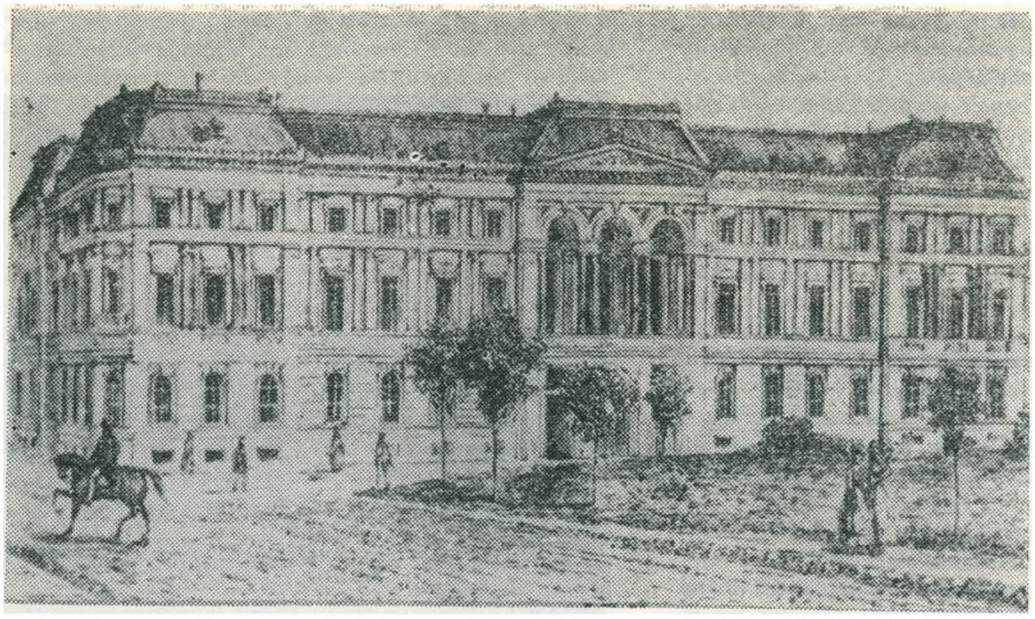

Nie istniejący już dzisiaj pałac Kronenberga na rogu Mazowieckiej i Królewskiej, w którym spotykała się na balach i rautach finansjera, przemysłowcy, arystokracja, uczeni, artyści — wszyscy stanowiący o życiu kraju

Edward, w 1849 r. Leopold Julian, a między rokiem 1851 i 1857 córki, z których dwie żyły dłużej: Maria Róża i Róża Maria Karolina.

W 1851 r. kantor bankowy Kronenberga przekształca się w dużą firmę o rozległym zakresie działania i poważnych kapitałach. Pan Leopold wysuwa się na czoło warszawskiej finansjery: jest właścicielem firmy bankowej, fabryki tytoniu, kilku cukrowni i innych przedsiębiorstw przemysłowych, a także dużych dóbr ziemskich. Rolę Kronenberga w ówczesnym życiu gospodarczym kraju dobrze scharakteryzował XIX-wieczny kronikarz życia Warszawy, Antoni Zaleski, który w swym dziele „Towarzystwo Warszawskie", ujętym w formę fikcyjnych „Listów do przyjaciółki", równie fikcyjnej „Baronowej XYZ", pisze:

„Wyrasta ponad poziom zwyczajnych świata finansowego potęg nie tylko inteligencją, niepospolitą przenikliwością, charakterem i siłą woli, ale całą swoją indywidualnością... Nie miał... ani arogancji, ani pyszałkowatości, ani tendencji zużytkowania złych instynktów ludzkich... Powodzenie sprzyjało mu wiernie... Nie o gwałtowne dorabianie się jednym zamachem olbrzymiej fortuny chodziło mu wyłącznie, lecz o handel uczciwy, zdrowy i racjonalny. Więc dostarczał towaru wyborowego po niskich cenach... publiczność była zadowolona, przedsiębiorca zarabiał dużo... Szerzył śmielszy pogląd na zadanie i uczciwość kupiecką, cel lepszy i większy przed oczyma mając... Jeśli był dumny to nie tyle z milionów, którymi rozporządzał, lecz ze swej indywidualnej wartości... Świat finansowo-handlowy warszawski jemu niemal wyłącznie zawdzięcza swą nową konsolidację, on umiał mu narzucić swoje zasady i zdrowia ich przestrzegał z surowością i bezwzględnością, którą usprawiedliwiał zawsze potrzebą natychmiastowego wypalania ran gorącym żelazem, aby gangrena nie objęła całego ciała". Bajecznie bogate, coraz pewniej czujące się w życiu krajowym mieszczaństwo polskie wznosiło w Warszawie wciąż nowe pałace, pałacyki, wille, swymi fortunami przyczyniało się do pomnażania inwestycji służących później ogółowi: bibliotek, ogrodów, parków, urządzeń komunalnych, przebudowanych świątyń. Pałace nowobogackich służyły oczywiście ich właścicielom, póki stało fortuny, póki nie poszły naprzód wskazówki historycznego zegara. Później przechodziły często w ręce ogółu. Tak też było z ogromnym pałacem Kronenberga, wzniesionym przy ul. Królewskiej w latach 1867-1871 według projektu berlińskiego architekta Hitziga. Pałac utrzymany był w stylu późnoklasycystycznym, wzbogacony renesansowo-barokowymi elementami. Jego budowa kosztowała ponoć Kronenberga około miliona rubli. Wszystko na zewnątrz i wewnątrz uderzało potęgą, gigantycznością, przepychem. W salonach tego pałacu na przyjęciach, balach, i rautach spotykali się wszyscy stanowiący o życiu kraju: przemysłowcy, bankierzy, arystokracja i ziemiaństwo, artyści, uczeni, dziennikarze. Po śmierci bankiera jego synowie, niezbyt dobrze się czując w tym gmachu, wszczęli starania, aby budynek stał się własnością muzeum. Prasa warszawska głośno jednak zaprotestowała podnosząc wątpliwe wartości architektoniczne pałacu. Dopiero w Polsce Odrodzonej po 1918 r. nabył go na biura Bank Polski. Wypalony we wrześniu 1939 r. miał być po 1945 r. odbudowany, ostatecznie zrezygnowano z tego pomysłu i zrujnowany budynek rozebrano.

Jak wyglądał Leopold Kronenberg w oczach współczesnych, jaki miał sposób bycia, co w nim pociągało, a co odpychało? Znany lekarz warszawski, Ignacy Baranowski, zaprzyjaźniony z domem Kronenbergów tak go maluje: „Wzrostu małego, otyły, z siwiejącym włosem, o twarzy krótkiej, rysach nieregularnych, z oczami przymrużonymi, brwią gęstą, odstającą i czołem zmarszczonym, jak to bywa u krótkowidzów. Żywy w ruchach".

Uchodził za człowieka niezwykle ruchliwego, energicznego, nie znoszącego bezczynności. „Natura wyposażyła go bogato — powiada Kraszewski — nic z jej darów nie zostało zatracone. Bystrego pojęcia, pamięci wielkiej, obdarzony energią, siłą woli żelazną, Kronenberg był jednym z najpracowitszych ludzi w świecie". Znane było jego uwielbienie dla wzorców republikańskiego parlamentaryzmu Anglii i Francji. „Baronowa XYZ" dorzuca jeszcze, że „nigdy się nie płaszczył, raczej zgiął się i złamał we dwoje, aniżeli kosztem godności własnej miałby kogoś dla siebie lub

swych projektów zjednać... Ja nie szukam uznania, ale poparcia — zwykł był często mawiać. — Od podwładnych wymagał wiele, ale też hojnie ich wynagradzał. Synekur nie znosił, próżniaków tępił, pochlebcom ucha nie nadstawiał i na czczą popularność drażliwy nie był".

Wyposażony w swoje miliony, w swe talenty, swą niekwestionowaną pozycję „króla warszawskiej finansjery", szukający wciąż szerszych horyzontów dla swego działania, wrażliwy na sprawy kraju ojczystego — spotkał oto pan Leopold na swej drodze hrabiego Andrzeja Zamoyskiego, jednego z najmożniejszych magnatów polskich, od 1858 r. prezesa Towarzystwa Rolniczego, dążącego do skierowania rolnictwa polskiego na tory gospodarki kapitalistycznej, zamienienia pańszczyzny na czynsze. Zamoyski wiele inwestował w przemyśle, rozumiał i cenił mieszczaństwo, żywił szacunek dla pracy i inicjatywy. Miał jednocześnie ambicje polityczne, które z całą siłą ujawnią się w latach przed powstaniem 1863 r., kiedy stał się symbolem patriotyzmu. Było wyrokiem losu, że tacy dwaj ludzie nie tylko się spotkali, poznali, ale i nawiązali ścisłą współpracę.

Odbywało się to stopniowo i etapami. Na początek była Spółka Żeglugi Parowej, powstała w 1846 r. z inicjatywy przybyłych z Francji braci Guibert, organizująca żeglugę parową na Wiśle, Bugu, Narwi, Wieprzu i Pilicy. Gdy w 1848 r. przystąpił do spółki Andrzej Zamoyski, firma przyjęła nazwę „Andrzej hrabia Zamoyski i Spółka". Kronenberg był od początku jej udziałowcem ze znacznym wkładem. W 1860 r. pod flagą spółki pływało 13 parowców wyposażonych w najnowocześniejsze na owe czasy silniki oraz 41 barek. Kapitał przedsiębiorstwa rósł: w 1848 r. wynosił 200 tysięcy rubli, a w 1860 już 1200 tysięcy rubli. Przewieziono wówczas ponad 33 500 pasażerów, głównie trzema statkami na trasie Warszawa—Ciechocinek i Warszawa—Puławy. Od 1851 r. uruchomione zostały nad Wisłą zakłady naprawcze, które podjęły budowę statków (było to w skali ziem zaboru rosyjskiego przedsięwzięcie pionierskie, dające początek rzecznemu przemysłowi stoczniowemu). Budowano w nich także urządzenia do młynów parowych, gorzelni i cukrowni, sprzęt pożarniczy, elementy mostów itp. Jeden z warszawskich kalendarzy pisał z entuzjazmem: „Zakład ten mieści wszelkie warsztaty, jakich wymaga wyrabianie z drzewa i metalu od najogromniejszych kół statku parowego, kotłów, cylindrów, aż do najdrobniejszych śrubek żelaznych i mosiężnych. Machina parowa ogromnej siły wprawia w ruch kilka tokarni, na których by nawet ciężkiego kalibru działa można wiercić i kształtować, większe i mniejsze machiny do wiercenia dziur i robienia gwintów. W małym oddaleniu znajdujemy szereg kuźni kowalskich, ślusarskich, potężny przyrząd do gięcia i krajania blachy, a raczej tafli żelaznej, choćby na cal grubej, poruszany siłą rąk ludzkich i rozliczne inne narzędzia do przygotowywania materiałów surowych i obrabiania czysto grubych odlewów i wyrobów młota".

Spółka Żeglugi Parowej miała swoje udziały w innych przesiębiorstwach. Zresztą po latach okazało się, że prosperity firmy nagle się popsuło: koszty eksploatacji były zbyt wielkie na skutek katastrofalnego stanu rzek z Wisłą na czele, nadmiernie dużych wydatków na zakłady naprawcze itd. Zawsze otwarty, jeśli idzie o interesy, Kronenberg obciążał za to odpowiedzialnością Zamoyskiego. Nadciągające burzliwe wydarzenia polityczne stworzą płaszczyznę do innego typu współpracy pana Andrzeja z Kronenbergiem...

Ostatnie lata przed powstaniem styczniowym przynoszą Kronenbergowi jeszcze jedną bliską znajomość, mianowicie z Józefem Ignacym Kraszewskim. W 1859 r. Kronenberg zdecydował się nabyć „Gazetę Codzienną" i redaktorstwo naczelne zaproponować Kraszewskiemu, którego talent literacki i dziennikarski, ogromną pracowitość i szerokie poglądy w różnych kwestiach społecznych wysoce cenił. Miał już za sobą pisarz wieloletnią współpracę z czasopismem literackim „Ateneum", wychodzącym w Wilnie w latach 1841-1851, a od 1850 r. — jako korespondent — z „Gazetą Warszawską". Pracę dziennikarza nazywał „najgodniejszym uwagi zjawiskiem umysłowym naszego wieku". Jeszcze potężniejsza była sława literacka Kraszewskiego. „Gdy J. I. Kraszewski przybył do Warszawy roku 1847, społeczność cała rwała się po prostu... ażeby go widzieć, słyszeć, poznać, powitać... Obiady, wieczory goniły jedne po drugich. To proszono, aby oblubienicę do ślubnego powiódł ołtarza, to znowu ażeby chrzestnym był ojcem" — opowiada pamiętnikarka, Paulina Wilkońska.

Miał więc o kogo zabiegać Kronenberg; zresztą siedzący na kresach Kraszewski zabiegał też o bankiera, a były to zabiegi obopólnie dla nich i interesu publicznego korzystne i owocne. Na wiosnę 1859 r. otrzymał Kraszewski od pana Leopolda oczekiwaną odpowiedź na swój list: „Wielmożny panie dobrodzieju. Z wielką radością wyczytuję z listu jego, że raczysz się przychylać przez pana Jana zakomunikowanej propozycji względem wzięcia pod swoją dyrekcję gazety" (panem Janem był Jan Zakrzewski, pełnomocnik Kronenberga do spraw „Gazety").

Obiecywał Kronenberg wziąć całość spraw administracyjnych pisma na swe barki, obiecywał hojne finansowanie imprezy, a samemu Kraszewskiemu jako „chef-redaktorowi" wyznaczał wielką roczną gażę 3 tysięcy rubli rocznie i 30 procentowy udział w zyskach. „Liczę na pana — pisał do Kraszewskiego — bo gdzie o pożytek dla kraju chodzi, nie wątpię, że podasz mi rękę".

Zawarto przymierze. Pisarz objął naczelną redakcję w połowie 1859 r., a do Warszawy przeniósł się w połowie roku następnego. Osiadł z rodziną w domu przy ul. Mokotowskiej 48 (dom ten nabył dlań Kronenberg!). Znajomość przekształciła się niebawem w zażyłość, zażyłość w przyjaźń, która przetrwała lata, budząc zdziwienie wśród współczesnych, gdyż wydawało się, iż tych dwóch ludzi dzieliło wszystko: charakter, pozycja społeczna, zainteresowania, poglądy. „Kronenbergowi zależało — powiada Ryszard Kołodziejczyk — by do kampanii politycznej, którą podejmował wówczas na kilku frontach jednocześnie, przyciągnąć człowieka z talentem, popularnego, o wielkim autorytecie w opinii publicznej. Kraszewskiego zaś nęciła perspektywa powrotu do Warszawy, stanowisko redaktora naczelnego gazety, finansowanej przez jednego z najzamożniejszych ludzi w kraju".

Jednym z frontów tej walki politycznej, na którym Kronenberg i Kraszewski ruszyli do ataku, była kampania na rzecz emancypacji Żydów, asymilacji najwartościowszych jednostek semickich do polskości. Problem ten był aktualny wobec nasilającej się wów-

czas kampanii antysemickiej na łamch prasy. Kraszewski, podobnie jak Orzeszkowa, ale znacznie od niej wcześniej, wprowadził Żydów na karty swych powieści, propagował ideę asymilacji ludności żydowskiej, wyprowadzenia jej z getta obyczajowego i religijnego, odwoływał się do uczuć ogólnoludzkiej i chrześcijańskiej miłości, czym naraził się bardzo konserwatywnej części opinii szlacheckiej. Teraz pogłębiał ten konflikt, narażał się na zarzuty „żydowskiego służki za żydowskie pieniądze". Pisał w liście do brata: „Cała rzecz ufundować dobrą i uczciwą gazetę. O Żydach nie ma mowy, bo dla mnie nie ma Żydów — są ludzie, obywatele kraju i ci, co na to nie zasługują". Na stanowisku naczelnego „Gazety", stale toczącej boje w imię społecznego postępu, wytrwał Kraszewski do końca 1862 r. Bywał częstym gościem w warszawskim pałacyku bankiera — pryncypała, budząc szacunek i uwielbienie rodziny Kronenbergów. Jeden z synów bankiera tak odnotował te wizyty: „Możność ujrzenia z bliska tego tak znakomitego pisarza onieśmielała mnie jako podówczas jeszcze młodzieniaszka... Był to człowiek bardzo miły i bardzo życzliwie odnoszący się do całej mojej rodziny. Kraszewski nie tylko wielkim talentem pisarskim był obdarzony, ale też posiadał talent muzyczny. Wieczorami u moich rodziców słuchałem z namaszczeniem jego gry na fisharmonii, na której wykonywał poważne pienia religijne, a także pełne wyrazu pieśni naszych i cudzoziemskich twórców".

O ile w kwestiach społecznych „Gazeta Codzienna" propagowała ideę równości i zniesienia barier społecznych, wypowiadała walkę przesądom szlacheckim w kwestiach wyznaniowych, głosiła pochwałę pracy — o tyle w obliczu narastającego wzburzenia politycznego reprezentowała tendencję umiarkowaną, przeciwstawiając się zbytniemu radykalizowaniu oporu przeciw zaborcy. Redakcja mieściła się początkowo w domu warszawskiego bankiera Henryka Teoplitza przy ul. Daniłłowiczowskiej. Sprytny Kronenberg, pragnąc stępić ostrze cenzury carskiej, uczynił jednego z cenzorów, Antoniego Funkesteina, dobrze płatnym współpracownikiem gazety! Toteż pan cenzor często przesiadywał w redakcji, czytał powierzchownie teksty i na ogół znajdował je doskonałymi! Choć w początkach 1860 r. z powodu awansu musiał zrezygnować z tak lukratywnej synekury, to przecież — jak donosił Kraszewski panu Leopoldowi — „czytaniem artykułów zajmuje się jeszcze".

Tak oto nadciągały wypadki 27 lutego 1861 r., które wyniosą Leopolda Kronenberga do jego nowej roli — obrońcy gwałconych praw narodu polskiego — i szybko wciągną go w wir tragicznej walki 1863 r.

(Dokończenie w następnym numerze)

LISTY • LISTY • LISTY • LISTY • LISTY

Szanowna Redakcjo,

Zachęcony artykułem redakcyjnym pt. „Prawdziwa cnota krytyk się nie boi..." proszę o wyjaśnienie następujących problemów, które nasunął mi artykuł ks. B. Trandy pt. „Zadanie konieczne a niemożliwe" z „Jedności" nr 3/83.

1. Dlaczego „Zadanie konieczne a niemożliwe"...? Bardzo nieszczęśliwie sformułowany tytuł artykułu, bo przecież uczy Słowo Boże, że u Boga nie ma nic niemożliwego (Mat. 19:26). A jeżeli chodzi o głoszenie Ewangelii o tym wydarzeniu (tzn. o zmartwychwstaniu), to przecież ono jest nie tylko konieczne, ale aż dotąd wszędzie i zawsze możliwe. Św. ap. Paweł głosił Ewangelię Zmartwychwstania w trudniejszych warunkach (II Kor. 15), a nie mówił, że to jest zadanie niemożliwe...

2. W zacytowanym Liście do Koryntian św. Paweł pisze: „Jako w Adamie wszyscy umierają, tak w Chrystusie wszyscy ożywieni zostaną". Czy urodzeni i wychowani poza Kościołami chrześcijańskimi też zmartwychwstaną i czy naprawdę wszyscy?

3. Autor artykułu twierdzi, że Chrystus w czasie swego powtórnego przyjścia ożywi nasze śmiertelne ciało. Jeżeli ożywi materialne śmiertelne ciało, to gdzie? Do nieba czy na ziemię?

Bardzo proszę ks. Trandę o wyjaśnienie moich wątpliwości.

Czytelnik z Myślachowic
(adres znany redakcji)

Szanowny Panie,

Bardzo dziękuję za list. Uważa Pan, że tytuł „Zadanie konieczne a niemożliwe" jest bardzo nieszczęśliwie sformułowany i powołuje się Pan jednocześnie na to, że nie ma rzeczy niemożliwych u Boga. Tak jest, u Boga rzeczy niemożliwych nie ma, skoro nawet odwieczne Słowo ciałem się stało. Niemożliwe stało się możliwym. Tylko że ani ja, ani żaden kaznodzieja Bogiem nie jest. Dla nas istnieją rzeczy niemożliwe. Warto chyba, aby kaznodzieja zdawał sobie sprawę z tego, że wstępując na kazalnicę w Święto Zmartwychwstania waży się na wielką rzecz: mówić o tym, co niewyrażalne. Musi to czynić z pokorą, świadomy k o n i e c z n o ś c i mówienia o zmartwychwstaniu, a jednocześnie n i e m o ż l i w o ś c i przeniknięcia jego tajemnicy. Stąd paradoksalny tytuł. Jeśli chodzi o drugą sprawę, to odpowiedź brzmi: tak, wszyscy. Po cóż byłaby wizja Sądu Ostatecznego (Mat. 25:31 n., Obj. 20:11-15, 21:8)? Decydujące w tej kwestii jest chyba zdanie samego Jezusa o tym, że „wszyscy w grobach usłyszą głos Jego". Wszyscy powstaną z martwych, jedni po to, by zyskać życie, inni po to, by stanąć przed sądem (Jn 5:28-29).

Zwrot o ożywieniu naszego śmiertelnego ciała jest zapożyczony z Listu do Rzymian (8:11) i użyty w innym sensie niż przez św. Pawła. Przyznaję, że posłużyłem się nim niezbyt precyzyjnie, bo ożywione zostało np. śmiertelne ciało Łazarza, wskrzeszonego przez Jezusa do życia doczesnego. To nie było zmartwychwstanie, gdyż — jak wiadomo — Łazarz potem umarł. Ożywienie naszego śmiertelnego ciała przez jego przemienienie w zmartwychwstanie będzie ostatecznym aktem Bożym, zwycięstwem życia. Gdzie to życie będzie? Jak Pan woli: w niebie, na ziemi (tylko że na n o w e j z i e m i), w domu Ojca, w Królestwie Bożym, w wieczności? I to też jest zadanie konieczne a niemożliwe: mówić o niebiosach, mimo że brak nam pojęć, które odpowiadałyby dokładnie rzeczywistości niebios.

Łączę pozdrowienia
ks. Bogdan Tranda

PRZEGLĄD EKUMENICZNY

Z ZAGRANICY

● 4 maja br. Kościoły ewangelickie w NRD dokonały uroczystego otwarcia Roku Lutra na zamku Wartburg w Eisenach. W uroczystości tej uczestniczyli przedstawiciele Kościołów z 19 krajów Europy, Ameryki i Afryki. Swoich reprezentantów przysłali: Światowa Federacja Luterańska, Światowy Alians Kościołów Reformowanych, Wspólnota Kościołów Anglikańskich, Kościół Rzymskokatolicki i Rosyjski Kościół Prawosławny. Z Polski obecny był bp Janusz Narzyński — zwierzchnik Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Odprawione nabożeństwo było transmitowane przez telewizję NRD (pierwszy taki przypadek w historii tego państwa). Kazanie wygłosił dr Carl Mau — sekretarz generalny Federacji.

● Wspólna Komisja Katolicko-Luterańska, utworzona przez watykański Sekretariat do Spraw Jedności Chrześcijan i Światową Federację Luterańską, ogłosiła 6 maja br. dokument pt. „Marcin Luter — świadek Jezusa Chrystusa". Reformator wittenberski zostaje określony w tym dokumencie jako „świadek Ewangelii, nauczyciel wiary i herold odnowy duchowej". Dokument zwraca uwagę na coraz większe porozumienie między obu wielkimi Kościołami — katolickim i luterańskim. Obie strony zaprzestały też tradycyjnych ostrych polemik na temat Lutra. Kościoły luterańskie zdają sobie dzisiaj sprawę, że niektóre aspekty jego działalności miały negatywne następstwa. W kontekście tym wymienia się jego pisma polemiczne przeciw Żydom, a także nie we wszystkim usprawiedliwioną krytykę papiestwa, anabaptystów i wojny chłopskiej.

● Światowy Alians Kościołów Reformowanych zaproponował porozumienie wszystkich Kościołów chrześcijańskich w sprawie pokoju i sprawiedliwości. W maju br. opublikowano w Genewie oświadczenie Komitetu Wykonawczego Aliansu (obradował od 28 lutego do 4 marca br. w Kappel k. Zurychu), które proponuje, aby Światowa Rada Kościołów przygotowała w tym celu specjalną konferencję ekumeniczną wszystkich Kościołów chrześcijańskich i zwołała ją możliwie jak najszybciej. Oświadczenie zwraca uwagę, że zaangażowanie na rzecz pokoju oznacza nie tylko walkę przeciw zbrojeniom atomowym. Nie wolno też zapominać o innych zagrażających ludzkości niebezpieczeństwach, jak głód, ubóstwo, wyzysk, dyskryminacja i ucisk, które prowadzą nieuchronnie do pogwałcenia podstawowych praw ludzkich.

● W dniach od 26 od 31 maja br. odbyła się w Moskwie z inicjatywy Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego konsultacja Konferencji Kościołów Europejskich pod hasłem: „Dynamika nadziei — zaufanie, rozbrojenie, pokój". Zgromadziła ona 70 uczestników z 15 krajów Europy Wschodniej i Zachodniej. Z Polski obecni byli: ks. Adam Kuczma z Kościoła Metodystycznego i Andrzej Wójtowicz — kierownik Wydziału Kontaktów Zagranicznych Polskiej Rady Ekumenicznej. W ogłoszonym apelu uczestnicy spotkania wezwali państwa Paktu Północnoatlantyckiego i Układu Warszawskiego do rezygnacji z użycia broni atomowej jako pierwsze i rozciągnięcia w dalszym etapie tej rezygnacji także na bronie konwencjonalne. Apel wzywa też do zamrożenia wszystkich broni atomowych i wprowadzenia stref bezatomowych w Europie, do ograniczenia eksportu broni do Trzeciego Świata i do poparcia inicjatyw rozbrojeniowych ONZ.

● Światowa Rada Kościołów wystosowała pismo do chilijskiego kardynała Raul Silva Henriquesa, w którym wyraziła mu uznanie za 20-letnie kierowanie archidiecezją w Santiago. Pismo podkreśla, że sprawował on swój urząd w jednym z najtrudniejszych okresów w historii Chile. Swoim zaangażowaniem na rzecz pokoju i sprawiedliwości przyczyniał się często do łagodzenia skutków panującej samowoli władz. Kardynał stał się w tych latach symbolem pojednania i nadziei. Pismo ocenia też pozytywnie ekumeniczne zaangażowanie kard. Henriquesa, który ze względu na wiek przeszedł obecnie w stan spoczynku.

● Papież Jan Paweł II przyjął na początku czerwca br. zwierzchnika Syryjskiego Kościoła Prawosławnego Indii katolikosa Mar Baselius Thoma Matthews I. Z tej okazji Jan Paweł II wyraził nadzieję, że wśród wiernych obu Kościołów wzrośnie wzajemne zrozumienie, szacunek i miłość, co znajdzie swój wyraz we współpracy na polu społecznym, kulturalnym i w duszpasterstwie. Katolikos podkreślił w swoim przemówieniu, że to, co jest wspólne obu Kościołom, „jest nieporównywalnie większe od tego, co nas dzieli".

● W dniach od 6 do 10 czerwca br. odbyło się w Odessie (ZSRR) czwarte posiedzenie Wspólnej Komisji Prawosławno-Reformowanej. Podjęto zagadnienie odpowiedzialności Kościołów we współczesnym społeczeństwie oraz problemy związane z tradycją kościelną. Stwierdzono, że Kościoły muszą demaskować politykę zastraszania jako niebezpieczeństwo wojny. Kościoły nie mogą jednak tworzyć własnych programów politycznych, za to mogą i powinny przeciwdziałać niebezpiecznym tendencjom w polityce poprzez świadectwo Jezusa Chrystusa. Dotyczy to zagrożenia nuklearnego i w ogóle groźby wojny, a także solidarności z biednymi, wyobcowanymi i głodującymi. Z Polski w posiedzeniu uczestniczyli: bp Zdzisław Tranda z Kościoła Ewangelicko-Reformowanego i Mikołaj Kozłowski z Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego.

Z KRAJU

● W dniach 4 i 5 czerwca br. odbyły się w Cieszynie ogólnopolskie uroczystości związane z 500 rocznicą urodzin reformatora Marcina Lutra. Pierwszego dnia odbyła się sesja historyczna, w czasie której bp Janusz Narzyński wygłosił referat pt. „Recepcja Marcina Lutra w Polsce", a Barbara Enholc-Narzyńska, dyrektor Brytyjskiego i Zagranicznego Towarzystwa Biblijnego w Warszawie, mówiła o wpływie Lutra na czytelnictwo Biblii w Polsce. Tego samego dnia nastąpiło też otwarcie pierwszej ewangelickiej księgarni „Logos", w której można będzie nabyć Pismo święte i literaturę religijną, oraz wystawy poświęconej M. Lutrowi i literaturze polsko-ewangelickiej. Drugi dzień uroczystości rozpoczął się porankiem muzyki i pieśni religijnej w wykonaniu chórów Diecezji Cieszyńskiej, po czym odprawione zostało uroczyste nabożeństwo, które zgromadziło ok. 5000 wiernych przybyłych z różnych miejscowości. W uroczystościach uczestniczyli też goście z Czechosłowacji, NRD, RFN i Austrii. Władze

państwowe reprezentowali wojewoda bielski i naczelnik miasta Cieszyna. Organizatorem uroczystości była diecezja cieszyńska, którą kieruje ks. senior Jan Szarek.

● W dniach od 10 do 15 czerwca br. przebywał w Polsce na zaproszenie Polskiej Rady Ekumenicznej ks. dr. Helmut Hild, prezydent Kościoła Ewangelickiego Hesji-Nassau, wiceprzewodniczący Rady Kościołów Ewangelickich w RFN. Prowadził on rozmowy z prezesem PRE, bp. Januszem Narzyńskim, z przedstawicielami Kościołów członkowskich Rady, złożył wizytę zwierzchnikowi Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, metropolicie Bazylemu, wygłosił referat w Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, której jest doktorem honoris causa, nt.: „Zaangażowanie Kościołów ewangelickich w utrwalaniu pokoju na świecie". Ks. prezydent H. Hild został też przyjęty przez ministra spraw zagranicznych — Stefana Olszowskiego. Poruszono zagadnienie stosunków dwustronnych Polska-RFN i roli Kościołów ewangelickich w RFN w procesie normalizacji. Gość spotkał się także z kierownikiem Urzędu do Spraw Wyznań — min. Adamem Łopatką. W obu rozmowach uczestniczył prezes Polskiej Rady Ekumenicznej — bp Janusz Narzyński i dyrektor zespołu ds. Kościołów nierzymskokatolickich w Urzędzie do Spraw Wyznań — Tadeusz Dusik. Poza Warszawą ks. prezydent H. Hild odwiedził parafię Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego na Mazurach. Była to jego szesnasta podróż do naszego kraju. Ks. prezydent H. Hild aktywnie uczestniczy od wielu lat w tworzeniu w swoim kraju klimatu sprzyjającego rozwojowi przyjaznych stosunków między Polską a RFN.

● W dniach od 27 do 28 czerwca br. odbyło się w Berlinie drugie posiedzenie Komisji Kontaktów Polskiej Rady Ekumenicznej i Związku Kościołów Ewangelickich w NRD. Uczestnicy spotkania poinformowali się wzajemnie o życiu społeczno-politycznym i działalności kościelno-ekumenicznej w obu krajach. Strona polska zrelacjonowała trzy najważniejsze wydarzenia tegoroczne: obchody 40 rocznicy wybuchu powstania w getcie warszawskim i 500-letniej rocznicy urodzin Marcina Lutra oraz drugą pielgrzymkę Jana Pawła II do ojczyzny. Omawiano też sprawy związane ze wspólną pracą nad realizacją programu kościelnego dotyczącego wychowania dla pokoju oraz z udziałem delegacji Kościołów obu krajów w VI Zgromadzeniu Ogólnym Światowej Rady Kościołów w Vancouver. Zastanawiano się nad możliwościami dalszego kształcenia młodych teologów ewangelickich w NRD. Podjęto uchwałę w sprawie wzajemnej wymiany informacji. Ustalono, że trzecie posiedzenie Komisji Kontaktów odbędzie się w dniach 4—6 kwietnia 1984 r. w Polsce.

Z NASZEGO KOŚCIOŁA

● W święto Zesłania Ducha Świętego, 22 maja br. reformowana parafia warszawska przeżywała radosną uroczystość konfirmacji. Młodzież, która przez kilka lat przygotowywała się do tego ważnego w jej życiu aktu, złożyła publiczne wyznanie wiary i została przyjęta w poczet pełnoprawnych członków Kościoła. W drugiej części nabożeństwa konfirmanci po raz pierwszy przystąpili do Wieczerzy Pańskiej, tworząc wspólnie z rodzicami i zborem braterski krąg wokół Stołu Pańskiego.

Wydawca: Konsystorz Kościoła Ewangelicko-Reformowanego w PRL. Redaktor naczelny: ks. Bogdan Tranda, sekretarz redakcji: Barbara Stahl. Adres redakcji i administracji: al. Świerczewskiego 70a, 00-145 Warszawa. Telefon: 31-23-83 — Redakcja, 31-45-22 — Administracja. Od 1983 r. prenumerata w kraju: roczna — 360 zł, półroczna — 180 zł. Zagraniczna roczna — 720 zł. Cena numeru pojedynczego — 30 zł.
Konto: PKO Warszawa VIII OM, nr 1586-3854-136. Do nabycia we wszystkich placówkach Kościoła. Materiałów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

Cena 30 zł

RSW „Prasa-Książka-Ruch", Zakł. Graf. W-wa, z. 247-83/O. M-81. Nakład 1.800 egz.